

Siostra Agnieszka - Tom Eidson.

Skanował, opracował i błędy poprawił Roman Walisiak.

Gdy siostra Agnieszka, z grupką sierot, wyruszyła przez spaloną słońcem pustynię, absolutnie nie spodziewała się, że ich karawanę kilku wozów, zaatakują Apacze.

Sytuacja stała się rozpaczliwa.

Nie mieli wody, żywności, ani żadnych widoków na ratunek.

Ale czasami naprawdę zdarzają się cuda.

Rozdział 1.

BYŁ RANNY i jechał ostrożnie.

Nie bardzo wiedział, dlaczego czuł się nieswojo, toteż w gorącym wichrze czujnie nasłuchiwał zabłąkanego dźwięku.

Zwężonymi oczyma wypatrywał złamanego listka, świeżo potraconego kamyka - czegokolwiek, co choć trochę wyjaśniłoby przyczynę jego podświadomego niepokoju.

Niczego jednak nie dostrzegł.

Na pustyni nic się nie działo, mimo to miał mocno napięte nerwy.

Obrócił się w siodle i obejrzał za siebie.

Toczył się przed nim, targany wiatrem kłęb suchorośli.

Ale szlak był pusty.

Odwrócił się i zastygł, natężając słuch.

Nat Swanson liczył ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i miał dziewięćdziesiąt kilo wagi, toteż niełatwo było go poruszyć.

Dziś rano jednak czuł się wyraźnie spięty.

Kapelusz nasunął nisko na czoło, kryjąc twarz w cieniu ronda.

Żar, lejący się z nieba i wichry, sprawiały, że powietrze migotliwie falowało nad ziemią.

Zmusił się wszakże, by bacznie obserwować teren, wiedział bowiem, że jeśli przeoczy błysk spoconej skóry, albo prostą linię lufy między gałęziami, to już przepadł.

Pnąc się na mule coraz wyżej, odgarnął do tyłu płaczące mu się po twarzy, sięgające ramienia czarne włosy.

Związał je jedwabną wstążką, odsłaniając regularny profil.

Jego skóra miała kolor ciemnej miedzi, a słońce na ogorzałej twarzy wyłobiło tak głębokie zmarszczki wokół oczu i ust, że gdy się uśmiechał, przypominała popękana skałę.

Nieznacznym ruchem zsunął skórzany pasek z kurka rewolweru, zwisającego mu u boku.

Wyciągnął broń z olstra do połowy, by ją oczyścić, po czym wsunął rewolwer z powrotem.

Dotknięcie zimnego metalu sprawiło mu przyjemność.

Uciekał już od tygodnia, niewyspany, pokryty grubą warstwą kurzu, a przed sobą miał marne widoki.

Zabił człowieka gdzieś w zachodnim Teksasie, w miasteczku, którego nazwy nie pamiętał - z powodu kobiety, której imienia nigdy nie poznał.

Nie pragnął kobiety ani tej śmierci.

Chętnie zrezygnowałby też z dziury w udzie.

Chciał jedynie dostać się do Kalifornii i tam właśnie zmierzał.

W szczelnie zapiętej kieszeni koszuli miał dokument, nadający mu prawo własności rancza w Santa Barbara.

Może ktoś młodszy uciekałby dłuższą trasą, zanim by się obrócił, stanąłby do walki i być może zginął.

Ale Nat Swanson tego lata kończył już trzydzieści pięć lat i był za stary na włóczęgę odwiecznymi szlakami.

Będzie uciekał tylko tak długo, jak to sobie zamierzył.

Stado przepiórek poderwało się na szczytowej grani, zakołowało w przejrzystym górskim powietrzu, po czym zniknęło wśród wrzosów.

Ściągnął mułowi cugle, zatrzymał się i rozejrzał dokoła.

Znowu naszło go to niemiłe uczucie, toteż wciągnął powietrze, usiłując wywęszyć coś w powiewie wiatru.

Nic.

Przecież jednak coś się dzieje.

Przepiórki nie podrywają się tak łatwo do lotu przy wietrznej pogodzie.

Był wczesny poranek.

Swanson usadowił się pośrodku stromego zbocza, które upodobały sobie jelenie.

Szlak ten biegł znacznie po niższej grani grzbietu górskiego, po którym prowadził główny trakt.

Nawet w najlepszych czasach nie jeździł głównymi drogami ani perciami, a dziś rano, mając na karku trzech jeźdźców, tropiących go od terytorium Nowego Meksyku, nie miał zamiaru zmieniać tego zwyczaju.

Przebiegł myślą minione wypadki.

Nie wynikało z nich, żeby mężczyźni, ścigający go całe mile po rozżarzonej pustyni, jakimś cudem zdołali go wyprzedzić.

A nawet gdyby zgonili tak swoje zwierzęta, w co szczerze wątpił, nie zgadliby, którym łożyskiem potoku wspiął się w wysokie góry.

Byłyby to bezsensowne dociekania, on zaś do szukał się sensu we wszelkich przedsięwzięciach.

Usłyszawszy z tyłu szelest zorientował się, że przez gąszcz przedarł się pies.

Zerknął przez ramię i zobaczył zwierzaka, który przysiadł na chudym zadzie, wystawiając uszy na szlak przed sobą

- a więc przynajmniej nie zachodzą go od tyłu.

Pies mierzył pewnie z sześćdziesiąt centymetrów w barkach, ważył ze czterdzieści kilo, miał wydatną pierś, lecz w zadzie był wąski.

Dla równowagi natura obdarzyła go długim ogonem, a ktoś obciął mu uszy, by nie dało się ich oderwać w walce.

Była to bestia równie brzydka, co potężna

- na pewno zdołałaby powalić i zagryźć człowieka.

Pies przyplątał się do niego przed pięcioma laty gdzieś w Arizonie.

Pewnego dnia o zachodzie słońca, na łące wysoko w górach, jakieś sto mil od jakiegokolwiek ludzkiej siedziby, żwawo przybiegł za jego mułem.

Mężczyzna wiedział o nim tyle, że jest czysty.

Nie żebrał, nie łąsił się i nie hałasował.

Ugryzł go tylko raz, choć Swansonowi już wielokrotnie przychodziło do głowy, by go zastrzelić.

Gdy pies odpoczął, Swanson kiwnął nań, by pobiegł przodem.

Minał więc muła i puścił się zygzakiem penetrując zarośla po obu stronach szlaku.

Pięć metrów przed szczytem zastygł.

Swanson przy patrywał mu się przez parę sekund, po czym zsiadł, poczuwszy przy tym ból w udzie.

Wyciągnął spod siodła skórzany worek i zawiesił go pod ramieniem, po czym rozluźnił paski przytrzymujące kuszę i zarzucił sobie broń na plecy.

Sprawdził bębenek rewolweru i ruszył do góry.

Mimo rany poruszał się z lekkością i siłą, świadcząca o latach spędzonych nie w siodle, lecz na pieszych wędrówkach przez wysokie góry.

Gdy tak kroczył, spodnie z kozłowej skóry i niebieska flanelowa koszula nie wydały najmniejszego szmerku.

Wiedział, że pies wyczuł zapach, lecz wiatr ciągle zbijał go z tropu.  
Patrzył, jak zwierzę obraca się, węszy do góry, po czym znowu zmienia kierunek.  
Swanson kontynuował wspinaczkę.

NIE WIDZIAŁ śladu psa, kiedy opuszczał szlak poniżej grani.

Noga porządnie mu dokuczała.

Dłuższy czas leżał nieruchomo na kępie wyschłych traw, wsłuchując się w ciszę.

Ani szelestu.

Paliło go po ranne słońce.

Doczołgał się do krawędzi szerokiego wąwozu, który opadał stromo tuż obok jego kryjówki.

Na dole dostrzegł kamieniste, płaskie, wyschnięte koryto rzeki, rząd karłowatych drzew tamaryszku, uschłych i prawie bezlistnych, które porastały bezwodny nurt rzeczny.

Cała natura pogrążyła się w martwocie.

Zanim ich dostrzegł, usłyszał nagle wystrzał z muszkietu.

Parę sekund później dobiegł go ostrzejszy, bardziej szczekliwy dźwięk, przypominający świst naboju ze strzelby hawkena.

Zmrużył oczy i błądził wzrokiem po wąwozie, aż dostrzegł smużkę białego dymu, unoszącego się w powietrzu.

Wypatrywał jeszcze parę chwil, po czym ujrzął Indianina, który wypalił z muszkietu.

Po dziesięciu minutach zdołał ustalić pozycje trzydziestu Apaczów i zobaczył ich przyszyły łup.

Dwa przewrócone wozy leżały przy skale na skraju wąskiej drogi, niczym dwa ramiona trójkąta.

Swanson wyciągnął lunetę ze skórzanej torby i uważnie się im przyjrzał.

Resztki beczułki z wodą wskazywały, że opór będzie krótki, niezależnie od tego, czy mieli hawkena.

Konwojujący oszaleją z upału, pragnienia, ze strachu i pewnej nocy będą usiłowali zbiec.

Ale ucieczka się nie powiedzie.

Dawał im najwyżej trzy dni.

Byli prawdopodobnie Meksykanami, uzbrojonymi w broń ładowaną przez lufę ijednostrzałowe pistolety.

Hawken oznaczał pewnie, że wiozą cenny ładunek.

Nieważne.

Nikt im nie przyjdzie na pomoc.

Wiedzieli o tym.

Znali Apaczów.

Te dwa ludy mordowały się wzajemnie od niepamiętnych czasów.

Skierował lunetę na skały nieopodal wozów.

Indianie zaczęli spuszczać lawinę, próbując zepchnąć najbliższy wóz z drogi, ale chybili celu.

Kamienie zbiły się w stos wyższy niż furgony.

Gdy Apacze spostrzegli to, dwaj z nich skryli się za kamienną osłoną, gestem nakazując trzeciemu, by wspiął się i strzelił.

Swanson skierował teraz lunetę na tego Indianina.

Miał na sobie czerwoną koszulę, ściągniętą w talii skórzanym paskiem, białą przepaskę na biodrach, spodnie i buty z jeleniej skóry.

Wyglądał młodo, lecz wprawnie trzymał muszkiet w zagięciu ramienia i wspinał się pewnym krokiem z dna rzeki po kamienistym zboczu.

Najwyraźniej był ich najlepszym strzelcem.

Swanson doszedł do wniosku, że jeszcze nie przyszła pora na jego pogrzeb.

Zastanawiał się właśnie, jakby tu się wycofać, kiedy zobaczył, że Indianin w czerwonej koszuli, z beczelnym uśmiechem na twarzy, doskonale widoczny od strony wozów, oddaje mocz, prowokując osaczonych Meksykańczyków.

Swanson czekał na wystrzał z hawkena, już niemal widział, jak młodzieniec leci do tyłu z rozwaloną klatką piersiową.

Ale nic się nie stało.

Tego nie mógł zrozumieć.

Dlaczego po prostu go nie zastrzelili?

Niczym zające zaszcute przez psa, pewnie zeszywnieli ze strachu.

Swanson już dawno przekonał się, jak niewyobrażalny może być strach człowieka czy zwierzęcia.

Niemniej ten akt oddawania moczu w kierunku tych, którzy nie bawem zginą, ludzi przypartych do muru, nad którymi Apacze mieli przewagę liczebną, nie spodobał się Swansonowi.

Chyba mają jeszcze trochę godności, choć pewnie porobili w portki ze strachu.

Mimo że Nata Swansona niełatwo wyprowadzić z równowagi, indiańskiemu młokosowi to się udało.

Schylony prawie w pół pokuśtykał granią do kilku głazów i przy kucnął za nimi, zaciskając mocniej na udzie zakrwawioną chustkę.

Potem zdjął kuszę z pleców, manewrując kawałkiem drewna w kolorze kawy z wprawą, której nabierał prawie od urodzenia.

Ta kusza należała jeszcze do jego dziadka.

Swanson znał to z rodzinnych opowieści.

Staruszek kłusował z nią na jelenie i dziki w wielkich angielskich majątkach w Kent, pod koniec osiemnastego stulecia.

Musiała cudownie nadawać się do tego celu: potężna, dokładna, cicha niczym wietrzyk w wiosennych listkach.

Oparł sobie kolbę na brzuchu i chwytając cięciwę obiema rękami naciągał ją z całych sił, ściągając krótkie metalowe skrzydełka, aż pochwycił ją bezpiecznik spustu, po czym, z wolna unosząc broń, zgrabnie umieścił bełt na miejscu.

Oszacował odległość i skierował odwiedzioną kuszę odrobinę wyżej.

Nie było wiatru.

Indianin znajdował się teraz na szczycie głazów, ostentacyjnie celując z muszkietu.

Swanson lekko pociągnął.

Rozległ się tylko cichy brzęk, gdy cięciwa wygięła się do przodu.

Przez ułamek sekundy widział jedynie białe upierzenie, lecące łukiem w jaskrawym, porannym słońcu, potem strzała wpadła w cienie pod wystającą skałą.

Jedna sekunda.

Dwie.

Nagle ciało Apacza osunęło się bezwładnie na drogę.

Dwaj pozostali Indianie skulili się przy ścianie, szukając człowieka bądź oręza, który tak sprawnie i tak cicho zabił ich towarzysza.

Jeden dał susa zza kamieni i szybko przeciągnął ciało po skalistym zboczu, drugi gramolił się po cenny muszkiet.

Nie mieli pojęcia skąd nadleciał bełt.

To ich powstrzyma, przynajmniej na jakiś czas przed wspięciem się na głaz i oddaniem następnego strzału.

Swanson znowu przez lunetę bacznie wpatrywał się w wozy.

Indianie nadal zalegali zbocze, ale nie byli już tacy pewni siebie.

Znowu zaczął się zastanawiać, czy za wozami kryje się jeszcze ktoś żywy.

Wolno przesuwając krążek szkła pomiędzy dnem wozów i ziemią, starając się odkryć jakikolwiek ruch.

I wtedy ją zobaczył.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Kobieca twarz - niemłoda - ukazała się w przerwie między dwoma wozami.

Miał wrażenie, że wpatruje się wprost w niego.

A potem zniknęła.

Swanson przez godzinę przeszukiwał lunetą teren, w którym ją zobaczył, ale już się nie pojawiła.

W kryjówce między skałami żar lał się jak z pieca, muchy doprowadzały mężczyznę do szału i straszliwie męczyło go pragnienie, stracił bowiem dość dużo krwi.

Bez większego namysłu postanowił się wycofać.

Zrobił dla ludzi w wozach wszystko, co w jego mocy - ofiarował im cenny czas.

Przykro mu było, że uwikłana jest w to kobieta, ale nie przychodził mu do głowy żaden sposób jej uratowania.

Z trudem podniósł się na nogi i po raz ostatni omiół lunetą wozy.

Nikogo nie ujrzał, ale wiedział, że tam jest.

Jej twarz z dziwną siłą odcisnęła mu się w pamięci.

Pewnie dlatego, że był tak zdumiony jej widokiem, co chwila powracał do niej myślami.

Muła znalazł tam, gdzie go pozostawił.

Gdy z powrotem przytroczył kuszę i skórzany futerał do siodła, stanął na chwilę, nasłuchując sygnałów niebezpieczeństwa i popijając z manierki.

Najbardziej niepokoił go teraz trzech mężczyzn, ciągnący jego tropem.

Ponieważ stracił pół dnia, przypuszczał, że muszą być blisko.

Oni również pojadą drogą na Fort Stanton, ponieważ to jedyne miejsce w zasięgu stu mil, gdzie można kupić świeże konie i odnowić zapasy.

Gdyby miał głowę na karku, ruszyłby na zachód wzdłuż biegu rzeki Gila do Arizony.

Dotrze tam przy odrobinie szczęścia - nie będą go ścigali tak głęboko w krainie Apaczów.

Gila to najlepsza trasa do Kalifornii.

Ale nie może wyruszyć tam od razu.

Najpierw skieruje się do Fort Stanton - winien jest kobiecie z wozu tę jedną szansę.

Lecz obiecał sobie, że skręci na zachód, gdy tylko ścigający wysforują się przed niego na drodze do fortu.

Skoro już powziął tę decyzję, nie spodziewał się, że tak szybko zostanie zmuszony do ryzykownych działań.

Pies dołączył doń na szlaku, wchodzącym w łożysko potoku, a gdy go napoił, uniósłszy głowę w górę, dojrzał, że jego prześladowcy przechodzą przez szczyt grani jakieś pół mili z przodu.

Słońce świeciło w kark Swansona, toteż nie obawiał się, że mężczyźni dojrzą odbłask szkła i przyjrzał się im przez lunetę.

Ubrani byli i wyglądali jak typowi Teksasczycy - szczupli i muskularni, z przypasowanymi nowymi rewolwerami typu Colt Walkers, które zaczynały zdobywać popularność na tych terytoriach.

Jeden z mężczyzn jechał na wielkim, łaciatym koniu, wysoko unoszącym nogi w efektownym biegu.

Swanson przypatrywał mu się z podziwem, chętnie zamieniłby na niego muła.

Mężczyźni jechali swobodnym truchtem, pozwalając koniom znajdować szlak.

W innych okolicznościach pewnie poczuliby do siebie sympatię.

Ale zabił ich przyjaciela, a teraz oni chcieli go pomścić, więc odczekał, aż zniknęli w gęstych kolczastych zaroślach, porastających łożysko potoku, po czym dosiadł muła i ruszył na zachód w kierunku Gili.

Apacze wygrali, kobieta przegrała.

To tyle.

Nie mógł nic zrobić.

JECHAŁ już od pół godziny, czasami sprawdzając szlak za sobą, aż dotarł do urwiska i ujrzał materiał.

Setki metrów jaskrawego perkalu rozwleczone były we wszystkich kierunkach na dnie małej kotlinki.

Niektórzy młodzi Apacze mieli świetną zabawę na koniach.

Kątem oka dostrzegł trzeci wóz, któremu udało się wyrwać z za sadzki i dojechać aż tutaj.

Swansonowi napięły się mięśnie.

Wyciągnął rewolwer i sprawdził bębenek, po czym gestem nakazał psu, by wszedł w dolinę. Powietrze było rześkie i przejrzyste, wypełnione szumem wody i szczebiotem ptaków.

Po kwadransie pies wrócił i klapnął na szlak.

Był przemoczony i miał zadowoloną mordę.

Swanson wiedział, że zwierzak sobie popływał.

Zacisnął bandaż na nodze i zsiadł z muła.

Skradając się schodził ze wzgórza.

Woznica nie żył już co najmniej od dwóch dni, a resztki jego głowy czerniały teraz w upale.

Został zakopany aż po szyję w miękkim piasku, parę metrów od wozu.

Użyto go jako celu dla włóczni i strzał.

Trwało to ponad pół godziny, toteż można powiedzieć, że woznica miał szczęście.

Kobiecie poświęcili więcej czasu.

Jej biała skóra wyglądała nieprzyzwoicie, toteż Swanson przykrył ją czarną szatą, którą znalazł na ziemi.

Nie miał czasu ich grzebać, tym bardziej że Apacze niebawem powrócą po materiał i inne towary z wozu.

Napił się porządnie, napełnił obie menażki i bukłak z jeleniej skóry, zanurzył głowę w czystej sadzawce, oczyścił ranę, po czym napoił muła.

Jechał przez pół nocy, oddalając się spory kawał od doliny.

Pięć godzin przed świtem rozłożył sobie obozowisko.

Spętał muła, zdjął z niego siodło, starannie wycierając grzbiet zwierzęcia ścierką, po czym rzucił na ziemię brezentową płachtę i położył się, usiłując zasnąć pomimo panującego nadal prawie czterdziestostopniowego upału.

Z przyjemnością słuchał dochodzącego z kieszeni szelestu dokumentu, nadającego mu prawo własności

## Rozdział 2

SIOSTRA AGNIESZKA modliła się w ciemności już od ponad dwóch godzin. Trzymała krucyfiks, który matka dała jej czterdzieści siedem lat wcześniej, gdy składała śluby zakonne.

Kończyła wówczas dwadzieścia lat.

Żywo napływały wspomnienia.

Śnieg grubą warstwą pokrył Nowy Jork, a jej matka i dwóch młodszych braci wyglądało na przemarzniętych i osamotnionych, stojąc przed klasztorem Sióstr Miłosierdzia, gdzie odbyła nowicjat.

Trzęśli się w zimowych płaszczach, podczas gdy ona czuła w środku takie ciepło, taki spokój. Wiedziała wówczas, że Bóg jest prawdziwy.

On żyje.

To było dla niej takie proste.

Teraz popadła w poważne tarapaty.

Łagodnie pocierała krucyfiks palcami, jak zawsze, gdy zanosila modły o spełnienie szczególnych prośb.

A tej nocy, na owym mrocznym odludziu, modliła się o wyjątkowo szczególny dar.

Nie dla siebie, myślała, ona sama gotowa była połączyć się z Panem.

Jej modły, jak zawsze, były proste i zanosila je za innych.

Dziś w nocy odmawiała dwie modlitwy, raz po raz, różnymi słowami.

Pierwszą odmówiła za siostrę Rut.

Nie udało jej się uciec w bez pieczne miejsce.

Siostra Agnieszka widziała, jak grupa Indian otacza pędzący drogą wóz.

Nie powiedziała innym, co zobaczyła.

Siostra Rut była ich jedyną nadzieją, wyobrażały sobie, jak wraz z meksykańskim woźnicą pędzi po pomoc do Santa Fe.

Póki nie będzie musiała kłamać, siostra Agnieszka nie powie prawdy pozostałym za konnicom.

Zacisnęła powieki jeszcze silniej i gorąco modliła się za duszę siostry Rut, lecz nie modliła się o jej śmierć.

Choć wiedziała, co Apacze wyczyniają ze schwytanymi kobietami, wiara nie pozwalała za konnicy modlić się o śmierć.

Zanosila modły, by wiekuisty Bóg obdarzył siostrę Rut siłą i spokojem.

A potem raz po raz modliła się za szlachetną duszę Rut.

Gdy siostra Agnieszka skończyła się modlić, poczuła się słaba i samotna.

Podążyła teraz myślą ku swemu zmarłemu ojcu, którego tak kochała.

Pod wieloma względami przypominał siostrę Rut.

Oboje byli niezwykle dumni, mieli poczucie słuszności swych czynów i twarde charaktery.

Oboje też byli uparci.

Ojciec, duchowny baptysta, nigdy nie odezwał się do siostry Agnieszki po jej wstąpieniu do katolickiego zakonu.

Po paru chwilach rozpoczęła drugą modlitwę.

Prostując drobne ciało, mocno ścisnęła w dłoniach krucyfiks.

-Jezu - wyszeptala - nigdy nie prosiłam o cud.

Nigdy nie prosiłam o nic dla siebie.

Umrę w tym miejscu, jeśli taka jest Twoja wola, ale - zadrzała, jakby dotknęła ją czyjaś ręka - najdroższy Jezu Zbawicielu, ześlij nam kogoś, kto zbawi innych od tego zła.

NAT SWANSON, nadal śpiąc, usiadł gwałtownie i wrzasnął.

Podszedł doń pies i wpatrywał mu się w twarz.

Nat wyciągnął ku niemu drżącą dłoń, lecz zwierzę warknęło nań i odsunęło się.  
Podniósł się, zlany potem.  
Jeszcze nigdy w życiu tak nie krzyknął, nie był więc tym hałasem zachwycony.  
Przysiadł na skale i usiłował poukładać przyczyny, które doprowadziły do tak gwałtownej reakcji.  
Była piękna, gwiazdzista noc.  
Pies usiadł w pewnej odległości i z niejakim zdziwieniem przyglądał się swemu panu.  
Swanson wiedział, że miał zły sen.  
Co samo w sobie było dziwne, ponieważ nie pamiętał, by cokolwiek kiedyś mu się śniło.  
Miało to coś wspólnego z kobietą w wozie.  
Znowu ujrzał jej twarz - pogrążoną w całkowitej ciemności - i wydał z siebie okrzyk, który jakby uwięziony był w nim przez całe życie.  
Swanson zatrzęsł się lekko.  
Zawołał na psa, ale zwierzę tylko wpatrywało się weń ze zjeżoną sierścią.  
Do świtu brakowało jeszcze trzech godzin.  
Nat Swanson zacisnął mułowi popręg i ruszył w drogę.  
Starał się skupić całą uwagę na szlaku, ale myślami powracał do wozów i kobiety.  
Po godzinie zatrzymał się.  
Przejął go chłód.  
Przetarł oczy, lecz niemógł zetrzeć z nich wspomnienia jej twarzy.  
Nie była młoda.  
Nie nadawała się już do małżeństwa.  
To nie ma sensu.  
W Kalifornii czeka na niego nowe życie.  
Ale choć tak się starał, nie mógł wymazać z myśli jej twarzy tkwiącej między wozami.  
Obrócił muła i ruszył spowrotem do wąwozu.  
OGLĄDAŁ przez lunetę łożyska potoku i tyły grani.  
Żadnym cudem nie może dotrzeć do wozów, nie tracąc przy tym życia, chyba że po czeka do zmroku, a wtedy ani chybi będzie już za późno.  
Apacze stawali się coraz zuchwalsi.  
Dziewięciu stanęło na drodze - jedni kryjąc się za skałami, inni wręcz na wprost wozów.  
Dwóch młodych chłystków, sprawiających wrażenie, że popili sobie wódki z agawy, przemaszerowało przed wozami, obróciło się i wyzywająco poklepało po pośladkach.  
Rozległ się wystrzał z hawkena, a gdy tych dwóch bez najmniejszych ceregieli śmignęło do kryjówki, Swanson pokręcił głową, zdumiony, że ktokolwiek mógł chybić z tej odległości.  
Parę minut później Apacze obrzucali wozy kamieniami wielkości pięści i miotali obelgi.  
Nie miało to długo trwać.  
Niebawem śmiałek, któremu wódka pójdzie do głowy, chwyci dzię i ruszy na wozy.  
Inni pospieszą jego śladem i wkrótce będzie po wszystkim.  
Choć myśl o kobiecie, umierającej w ten sposób, była dla Swansona bardzo przykra, dzięki niej wpadł na dziwny pomysł.  
Tak szybko, na ile pozwalała mu ostrożność, wsiadł na muła, poczym ruszył w cień karłowatego dębu, rosnącego wzdłuż głównego szlaku grani, naprzeciwko wąwozu.  
Trzymał w dłoniach napiętą kuszę, szukając Indian, którzy klepali się po pośladkach.  
Byli najbardziej bezczelni, najgoręcej pragnęli dopaść swych ofiar skrytych za wozami.  
Stali teraz koło głazów na drodze, tańcząc rytmicznie w miejscu, dziwnie wirując rękami, pijani do szaleństwa i niebezpieczni.  
Swanson wybrał najbliższego i wymierzył.



Oszacował odległość na jakieś sto osiemdziesiąt metrów - bardzo blisko maksymalnego zasięgu kuszy.

Główna strzałki nie uderzy z wystarczającą siłą, by zabić, to też do prowadnicy wsunął stalową iglicę.

Był to ryzykowny strzał i mógł go zdradzić, ale Swanson potrzebował czasu.

Strzała poleciała nisko, trafiając śmiałka w żołądek.

Młodzieniec umrze, a będzie to śmierć długa i bolesna.

Myśl ta nie sprawiła Swansonowi przyjemności.

Kopnął muła, który ruszył truchtem.

SŁOŃCE, mrówki i muchy atakowały zakopanego Meksykanina od trzech dni, toteż jego głowa nie miała już ludzkich kształtów.

Cuchnący odór ciał kobiety i mężczyzny przyprawiał Swansona o mdłości.

Rzucił ziemię na sterzącą głowę, aż zdołał prawie całkiem ją przykryć, potem przywiązał kobietę do platformy, którą przymocował do siodła i skierował się z powrotem do wąwozu.

Przywiązanie zwłok do muła zajęło mu pół godziny.

Gdy skończył, owinał ją kocem niczym płaszczem, by ukryć dwa kije, którymi posłużył się, by nadać jej siedzącą pozycję.

Tak upozowana, wyglądała groteskowo, na dziwnie wojowniczą i żywą.

Swansonowi chodziło właśnie o osiągnięcie dokładnie takiego efektu.

O dziwo, tak wojowniczy lud, jak Apacze, na równi lękali się śmierci i złych duchów.

Raz zmuszony do biegu, muł przejdzie cały szlak aż do dna.

Swanson mocno klepnął zwierzę w zad i włożywszy na ramię ciężką sakwę z jeleniej skóry, kuśtykając, ruszył truchtem.

Noga bolała go coraz bardziej, a rana zaczynała krwawić.

Zatrzymał się pośrodku drogi z góry.

Muł kroczył ostrożnie, martwa kobieta poruszała się niezgrabnie na jego grzbiecie, resztki jej rudych włosów rozwiewał wietrzyk.

Skulił się w zaroślach, póki nie usłyszał pierwszego krzyku.

Muł znajdował się u stóp zbocza, a przerażeni Apacze uciekali w popłochu.

Swanson biegł jak szalony przez otwartą skalistą równinę do miejsca, gdzie leżały przewrócone wozy, nie zważając na ranę w udzie, która paliła go jak ogniem.

Śmigał wzdłuż zbocza jakby nogi same go prowadziły, pędził na łeb na szyję do przerwy między wozami.

- Amigo nadchodzi.

Nie strzelajcie - wrzasnął.

Ale na nic to się nie zdało.

Wygarnięto do niego z hawkena.

Lecz ktokolwiek to zrobił, był marnym strzelcem i spudłował, toteż po chwili Swanson bezpiecznie wylądował za wozami.

Rozciągnął się na brzuchu, z trudem łapiąc powietrze i z wyciągniętą bronią czekał, gotów do raptownej ucieczki.

- Zbierajcie się, tylko ostrożnie - syknął.

Kątem oka zauważył poruszający się cień, a gdy obrócił głowę, spojrzał jej prosto w twarz.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Katolicka zakonnica, drobniutka i utrudzona, modliła się na kolanach ze wzrokiem utkwionym w przerwę między wozami.

W garści nadal trzymała dymiącą broń.

Szybko rozejrzał się po niewielkim ogrodzeniu, ale nikogo więcej tam nie było.

Muła niosącego kobietę widać było wyraźnie jakieś pięćdziesiąt metrów stąd.

Uświadomił sobie, że zakonnica wpatruje się w zmarłą.

Kołysała się w przód i w tył, poruszając ustami w bezgłośniejszej modlitwie.

- Nic pani nie jest?

- zapytał Swanson.

Zakonnica nie odpowiedziała.

- Musi się pani przygotować.

Zabieramy się stąd.

Fortel z mułem udał się nadspodziewanie dobrze.

Ku jego satysfakcji Apacze nadal cofali się w panice.

Postanowił zabrać zakonnice, wymknąć się od północy i pojechać ku wysokim góróm.

Ale nie miało do tego dojść.

Najwyższy Indianin, jakiego Swanson kiedykolwiek widział na oczy, z wolna schodził ze wzgórz.

Wokół czoła owinał niebieską chustkę, ubrany był w skórzaną kamizelkę na bijaną srebrnymi ćwiekami, która prawdopodobnie należała do jednej z jego meksykańskich ofiar.

Prócz tego miał przepaskę na biodrach oraz spodnie wciśnięte w cholewki butów z jeleniej skóry.

Był o głowę wyższy, niż wojownicy nerwowo tłoczący się za nim.

Nawet z odległości stu metrów Swanson wyczuwał rozsadzający go gniew.

Indianin zrzucił koc z trupa, ukazując kołki, poczym gwałtownym ruchem zsunął ciało z siodła.

Swanson usłyszał cichy, bolesny okrzyk zakonnicy.

Indianin kopał teraz zwłoki, a zakonnica modliła się na głos.

Swanson podniósł odwiedzioną kuszę i wsunął bełt, celując pod wozem.

- Nie - rzekła zakonnica.

Zdumiony, Swanson zerknął na nią.

Ciągle na klęczkach, wpatrywała się teraz w niego.

Po bladej pomarszczonej twarzy poznał, że spędziła życie we wnętrzu kościoła.

Czysty, schludny habit nadawał jej drobnym, delikatnym rysom wyraz spokojnej władczości.

Swanson, któremu zakonnica pokrzyżowała plany, odwrócił się z powrotem do Indian.

Ich wódz oddalił się, pozostawiając wojownikom dalsze kopanie i bezczeszczenie zabitej kobiety.

- A niech to - wyszeptał.

Może zabijając wielkiego Apacza zmusiłby innych do ucieczki.

Wybrał sobie przypadkowego wojownika i powalił go strzałem w głowę, a wówczas inni rzucili się w poszukiwaniu schronienia.

Swanson usłyszał, jak zakonnica wciągnęła oddech, gdy wystrzelił, a teraz znowu modliła się na głos.

W pewnym momencie zorientował się, że prosi o wybaczenie dla niego.

Zrobiło mu się nieswojo.

Żadne z nich nie odzywało się przez dłuższy czas.

Zakonnica wpatrywała się w niego, a on w skały i góry.

Czuł na sobie jej wzrok.

- Droga pani, nie wydestaniemy się stąd, nie zabijając kilku z nich.

- Bóg nie zesłał pana po to, by pan zabijał.

- Szanowna pani!

Bóg mnie nie zesłał.

Po prostu przyszedłem.

I jeśli kilku nie zabijemy, oni zabiją nas.

Pani przynajmniej usiłowała mnie zabić - rzekł, zmieszany.

- Bóg pana zesłał.
- Mówiła rzeczowym tonem.
- Strzelałam w powietrze.

To przynajmniej wyjaśniało, dlaczego kule z hawkena nie spowodowały żadnych strat.  
Siostra grzmociła w niebo.

A co do tego, czy Bóg go zesłał, niech wierzy w co chce.

- Ma pan wodę?
- spytała zakonnica.
- W manierkach.

Ale trzeba ją oszczędzać.

Będziemy uciekali, ile nam sił starczy.

- Inni nie mogą uciekać - rzekła.

Słowa te uderzyły go jak obuchem.

Spojrzał na zakonnice, która otwierała sakwę.

- Inni?
- zapytał.

Bez słowa odpowiedzi pośpieszyła ku urwisku i wielkiej skale.

Uklękawszy, zniknęła gdzieś na zboczu.

Pospiesznie załadował hawkena.

W jego polu widzenia nie było żadnych Indian, toteż wymierzył w skały najbliższe wozów.  
Potężna kula kalibru 54 spowodowała, że skały rozprysnęły się, a ich odłamki uleciały wysoko w niebo.

W górze widniał otwór, szerokości baryłki na whisky.

Zajrzał doń, ale w cieniu nikogo nie dostrzegł.

- Jest tam kto?

Gdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi, wpełznął do środka.

Przejście, wycięte w piaskowcu, było zbyt wąskie na jego szerokie ramiona.

Podczołgał się parę metrów i usłyszał przed sobą głosy.

Nagle znalazł się w jaskini o kształcie krypty, szerokiej pięć metrów na pięć i na tyle wysokiej, by mógł w niej stanąć.

Na skale, w pobliżu tylnej ściany, paliła się świeca, odbijając też na innych płaszczyznach migotliwą sylwetkę krzyża.

Gdy jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności, zaczął dostrzegać w jaskini kształty.

Panował w niej orzeźwiający chłód.

- Jest tam kto?

- zapytał znowu.

- Ja, siostra Elżbieta, siostra Marta i dzieci - odparła zakonnica gdzieś z głębi.

- Dzieci?

Ile ich jest?

- Siedmioro.

Swanson siedział bez słowa.

Nagle ogarnęło go ogromne znużenie.

Słuchał wdzięcznych głosików malców, pijących gdzieś w mroku wodę.

Dzieciaki wydawały krótkie, stłumione, zwierzęce dźwięki, z których wynioskował, że umierały z pragnienia.

Odwrócił się i wpełznął z powrotem do wozów, by pozbierać myśli.

Po chłodnym mroku jaskini, powietrze na zewnątrz było jak ze środka pieca.

Oparł się o skałę i przeładował hawkena.

Pot zaczął zalewać mu oczy, toteż zawiązał sobie chusteczkę wokół czoła na sposób Apaczów.

Pomyślał, że zszedł tu, by uratować kobietę - nic więcej.  
A teraz ma na głowie trzy kobiety i siedmioro szkrabów.  
Nawet jeśliby zdołał wydostać ich wszystkich w nocy, zmyliwszy czujność Apaczów - w co wątpił - nie uda mu się żadną miarą ukryć w górach tylu ludzi, a zwłaszcza dzieci.  
Odłożył hawkena i wyciągnął swój rewolwer.  
Przetarł go starą, naoliwioną szmatą, jednocześnie obserwując przestrzeń pod wozami.  
Apacze raczej nie zaatakują uzbrojonego mężczyzny w biały dzień, ale i tak nieda się zaskoczyć.  
W głowie mu dudniło i znowu zaczął boleśnie odczuwać ranę.  
Żeby niewiem jak się starał, nie wydostanie się stąd z dziesięciorgiem ludzi.  
Po raz pierwszy w życiu Nat Swanson poczuł się osaczony.  
To, co niegdyś wydało mu się nic nieznaczącą igraszką, przerodziło się teraz w ryzykowną grę bez szans powodzenia.  
Niemal słyszał głos matki przestrzegający go, by nie opierał się zbyt silnie na złamanej trzcinie.  
Przezeszał palcami włosy, nasłuchując w pamięci brzmienia jej głosu.  
Ale doszedł go tylko szum wiatru.  
Jak zawsze, jej obecność ścieliła się cieniem w jego myślach.  
A jednak niektóre rzeczy po części pamiętał i czuł, że postąpiłaby tak samo: również pospieszyłaby z pomocą starej zakonnicy.  
Swanson usłyszał hałas z prawej strony i obrócił się, odwodząc kurek rewolweru.  
Natychmiast zorientował się, że mierzy w głowę starej kobiety.  
Wpatrywała się weń przez chwilę, poczym z powrotem włożyła manierkę do jego sakwy.  
- To właśnie sprawia broń - powiedziała, a jej słowa zawisły w powietrzu.  
Skoro urwała, zapytał:  
- A co takiego?  
- Napawa człowieka strachem.  
Podeszła i stanęła obok niego.  
Uniósł kuniej wzrok.  
- Nie powinna pani stać, zabijają panią.  
- Byćmoże - odparła, klękając, ze świecą i małą skórzaną torebką w ręce.  
- Ale tylko wtedy, gdy Bóg zapraśnie mojej śmierci.  
- Uśmiechnęła się do niego.  
- A teraz chciałabym obejrzeć pańską nogę.  
- Nic mi nie jest.  
To tylko dziura.  
- Chcę obejrzeć pańską nogę - powtórzyła stanowczo, zapalając świecę i wtykając ją w piach.  
- Sądząc z ilości krwi na pańskich spodniach, to więcej niż dziura, a dzieci potrzebują pana.  
Swanson zrozumiał, że kobieta nie zostawi go w spokoju, toteż wyciągnął nogę.  
Z rany płynęła teraz paskudna wydzielina.  
Kobieta otworzyła torebkę, wyjęła mały nożyk, opaliła go w płomieniu świecy.  
Zdumiało go, że miała na ręce obrączkę.  
Odłożywszy nóż na bok, wzięła nożyczki i przecięła spodnie z kozłowej skóry.  
Kula uszkodziła kość, a rana była głęboka, ohydna i brudna.  
Gnijąca skóra wokół niej zaogniła się na purpurowo.  
Kobieta zaczęła na nowo ogrzewać ostrze, patrząc Swansonowi w twarz.  
- Co ma pan zamiar zrobić?  
- spytała.  
Swanson wpatrywał się w dziurę po kuli.

- Nie mam pojęcia.

- Pomyślał sobie, że gdyby wiedział o innych zakonnicach i o dzieciach, pewnie w ogóle by się na to nie odważył.

Przypatrywała mu się uważnie.

- Zaryzykowałby pan - rzekła.

Swanson aż podskoczył.

- Co bym zaryzykował?

- Myślał pan, że w ogóle by nie pomógł, gdyby pan wiedział, że jest nas tak wiele.

Spojrzał jej w oczy, zdumiony, że odgadła jego myśli.

Potem otrząsnął się ze zdziwienia.

Zawsze, mógł w życiu wybierać.

Nadal ma parę rzeczy do wyboru.

Odwrócił od niej wzrok i potrząsnął głową, patrząc na wspaniały zachód słońca i wąwóz.

Pot ciekł mu po plecach.

- Będzie bolało.

Zanim zacznę, chcę podziękować panu za uratowanie dzieci.

Były już umierające.

- Dawno zabrakło wody?

-Już przed dwoma dniami.

Ale nie chodzi tylko o wodę.

Męczył je strach.

Swanson nie zrozumiał.

- Więc co się zmieniło?

- Wiedzą, że Bóg zesłał pana, by je pan uratował.

- Uśmiechnęła się do niego.

Poczuł się, jakby uderzono go w twarz.

Głęboko wbiła nóż i cięła wokół rany.

Za ostrzem ciągnął się cienki ślad krwi.

- Niech pani posłucha - zaczął Swanson, poczym ból uderzył go jak obuchem i stracił przytomność.

OCKNAŁ się dopiero wieczorem.

Noga bolała go potwornie, przed oczyma migotały mroczki.

Udo miał przewiązane bandażem, zrobionym z damskiej bielizny.

Gdy wreszcie zaczął widzieć wyraźnie, zobaczył, że klęczy przed nim kobieta o puciołowatej twarzy cherubinka, przyglądając mu się z zaniepokojeniem.

Mogła mieć ze dwadzieścia lat.

-Jestem siostra Marta.

Napiłby się pan wody?

Niechciał.

Odwróciła się i zawołała cicho:

- Siostro, obudził się.

Przyszła stara zakonnica.

- To dobrze.

Bóg nigdy by mi nie przebaczył, gdyby umarł.

-Jej oczy rozbłysły dobrodusznym śmiechem.

- Co zrobiła pani z moją nogą?

- Z trudem powstrzymywał jęk.

- Była zanieczyszczona.

Odcięłam skórę i wyjęłam kulę.

- poczym cofnęła się ku małemu obozowemu ognisku, płonącemu w środku ogrodzenia.

- Teraz się zagoi.

Dopiero po paru minutach Swanson uświadomił sobie, gdzie się znajduje.

Siostra Marta nadal bacznie się weń wpatrywała, a gdy od wzajemnił jej spojrzenie, nieśmiało odwróciła wzrok.

Myślał o starej zakonnicy, która modliła się za zmarłych dzikusów, którzy ruszyli, by ją zabić - a potem pocięła mu nogę na kawałki z taką wprawą, jakby oprawiała kurczaki.

Niełatwo było ją pokonać.

Przez kilka minut przypatrywał się migocącemu w obozowisku ogniewi, myśląc o niej, nim uświadomił sobie, co go niepokoi.

- Niech pani to natychmiast zgasi!

- ryknął, turlając się w kierunku ogniska.

Dwie zakonnice chwyciły go łagodnie za ramiona.

Poczuł, że słabnie.

- Niech pan tego nie robi - rzekła starsza.

- Wyrządzi pan sobie krzywdę i wystraszy dzieci.

- Wystraszę dzieci, do cholery.

- Mówił coraz głośniej.

- Przez ten ogień zginą one i pani.

- Proszę nie kląć przy dzieciach - rzekła siostra Agnieszka, odwracając się do ognia.

- Muszą coś zjeść.

Zaraz po kolacji wygasimy ogień.

Dzięki za troskliwość.

Swanson nie mógł uwierzyć własnym uszom - chyba zupełnie oszalała.

Młoda zakonnica, siostra Marta, nadal podtrzymywała go za ramię.

Gdy zaczął się od niej odsuwać, ból przeszył mu nogę, aż zastygł w miejscu.

- Nic panu nie jest?

- zapytała siostra Marta.

- Wszystko w porządku - mruknął, pełnząc z powrotem do wozów.

Ujął hawkena i bacznie przyjrzał się mroczniejącym ceniom wąwozu.

Nie zauważył niczego niezwykłego, ale wiedział, że to nic nie znaczy.

Apacze Mimbre to pustynny lud.

Mogą zasadzić się w gołym piasku o metr od człowieka, który wpadnie na ich trop dopiero wtedy, gdy będzie zapóźno.

Jedyna szansa to zapamiętać kształt każdego krzewu, każdej skały, koloru, każdej plamy, a potem czekać na minimalną choćby zmianę.

Myśli rozpraszały mu odgłosy gotowania.

- Niech się pani pośpieszy - syknął.

Swanson usłyszał za sobą szuranie nogami, a gdy się odwrócił, ujrzał, jak dzieci wypełzają z dziury w górskiej ścianie.

Zapadła już niemal całkowita ciemność, gdy małe, jeszcze ciemniejsze kształty przykucały smętnie przy samej dziurze.

Na końcu szeregu znajdował się większy cień.

Swanson uświadomił sobie, że to trzecia siostra.

- Ach, siostra Elżbieta i dzieci, tu jesteście - rzekła stara zakonnica.

- Czy to nie cudownie siedzieć w nocy na powietrzu?

- Jej głos brzmiał tak beztrosko, jakby byli na majówce.

- Dzieci, chciałabym, żebyście poznały pana, który przyszedł was stąd zabrać.

Swanson rzucił jej gniewne spojrzenie, ale nie patrzyła na niego.

- Pan wybaczy - rzekła, pochylając się nad dużym garnkiem - ale nie znam pańskiego nazwiska.

Odczekał parę sekund.

- Nat Swanson - powiedział wreszcie.

Znowu odwrócił głowę ku dźwiękom dochodzącym z wąwozu.

- Nat Swanson powtórzyła wesoło.

-Jakież to dziarskie imię.

Chciałabym, żebyście się przywitały z panem Swansonem.

Jessico, ty pierwsza.

- Dobry wieczór, panie Swanson - odezwał się wątyły głosik.

Swanson wpatrywał się w ciemność jeszcze przez parę sekund, lecz niewinność tego głosu zwróciła jego uwagę, a gdy się odwrócił, widok małej bardzo go poruszył.

Jessica była drobniutka - mogła mieć z dziewięć lat, chuda, a w podartej sukience wyglądała na brudną i zaniedbaną.

-Jak się masz, Jessico - odparł, zerkając na zakonnice.

Uśmiechnęła się z aprobatą.

Następnie podeszły doń bliźniaki, Betty i Nań.

Mogły mieć z dziesięć lub jedenaście lat, lecz trudno było mieć pewność, bo wyglądały na straszliwie wygłodzone.

Potem zbliżyła się mniej więcej trzynastoletnia, wysoka i niezgrabna dziewczyna w podartej perkalikowej sukience.

Była w widocznej ciąży.

- Powiedz panu Swansonowi, jak masz na imię - rzekła łagodnie siostra Agnieszka.

Dziewczyna nie odezwała się.

Stała trzymając się za brzuch.

- Nic nie szkodzi - powiedziała zakonnica.

- Panie Swanson, nie znamy jeszcze imienia tego miłego dziecka, ale ochrzciłyśmy ją Millie.

Potem w świetle obozowego ogniska ukazały się dwie małe dziewczynki, Bonnie i Anna, liczące sześć albo siedem lat.

Trzymały się za ręce, jakby się zgubiły.

Były równie brudne i obdarte, jak i reszta dzieci.

Ostatni malec nie chciał wyjść z cienia, dopiero trzecia zakonnica przyciągnęła go za ramiona.

- Przedstawiam panu, panie Swanson, jedynego mężczyznę w naszej grupie - rzekła z dumą stara zakonnica.

- A oto Mateusz.

Chłopiec był chyba w najgorszym stanie spośród wszystkich dzieci.

Miał blizny po oparzeniach.

Swanson widział już takie oparzeliny.

Dokonano ich celowo.

Mateusz kuśtykał na nodze kiedyś złamanej i później źle nastawionej.

- Miło cię poznać, Mateuszu.

Chłopiec wbił wzrok w ziemię.

Można było odnieść wrażenie, że wstydził się odezwać.

Siostra Elżbieta obejmowała go łagodnie za ramiona.

Swanson zerknął na nią.

Była wysoka i chuda, po trzydziestce i miała niezwykle miłą twarz.

Wyglądała jak należy, dumna i śliczna, a im dłużej się jej przyglądał, tym cieplej robiło mu się na sercu.

Była przystojną kobietą.

Gdy ostatnie dziecko otrzymało już posiłek, stara zakonnica zasypała ziemią ognisko i całe obozowisko pogrzyżyło się w ciemności.

Swanson siedział przy wozach, wsłuchując się w noc, zdumiony, że Indianie nie strzelali do obozowego ognia.

Nadal było cicho i gorąco.

Gdzieś w oddali rozległo się pohukiwanie polującej sowy, raz, potem jeszcze dwukrotnie.

Słuchał tych odgłosów z natężeniem, poczym doszedł do wniosku, że dźwięki te wydał prawdziwy ptak, nie zaś naśladowający go Indianin.

Siostra Marta przyniosła mu talerz fasoli i pół filiżanki wody.

Posiłał się, myśląc o dzieciach i starej zakonnicy.

Potem, mając jeszcze pół porcji do zjedzenia, nieoczekiwanie dla samego siebie, zapadł w sen



### Rozdział 3

SŁABY ZAPACH kadzidła stwarzał w jaskini przyjemny nastrój.

Dzieci spały spokojnie na kocach rozłożonych na miękkim, piaszczystym podłożu.

Po raz pierwszy żadne nie zapłakało, nawet nie za drżało.

Siostra Marta siedziała na dużej skale, rozsunięwszy wokół siebie ciężkie sukno habitu.

Siostra Elżbieta kłęczała nieopodal, szorując czystym piaskiem patelnię, na której przygotowano dzisiejszą kolację.

Świeczka, stojąca z tyłu na skale, rzucała ciepły blask na twarzyczki dzieci, jakimś cudem łagodząc ich wymizerowane rysy.

Siostra Marta z miłością spozjrzała na swoich podopiecznych.

- Czy to nie prawdziwy cud, że przyszedł?

Ryzykuje swoje życie dla innych, jak święty.

Siostra Elżbieta wysypała piasek z patelni i sięgnęła po talerz.

- Chyba nie powinnyśmy zaliczać go w poczet świętych.

- Głos miała niski i praktyczny.

- Nie wiemy, dlaczego się pojawił.

- Przybył, by uratować dzieci - powtórzyła siostra Marta, głosem łagodnym, lecz nieco zmartwionym.

- Z jakiego innego powodu miałby się tu zabłąkać?

- Nie mam pojęcia.

Po prostu podejrzewam, że nie jest świętym - przekonywała siostra Elżbieta.

- Siostra powiada, że zabił człowieka.

A w głębi serca nie wierzę, że zostanie i uratuje dzieci.

Bóg nie zesłałby takiego człowieka.

- Czyściła talerz dłużej, niż to było konieczne.

Żadna z kobiet nie odezwała się więcej.

Siostra Marta nie wiedziała, co powiedzieć, a siostra Elżbieta uznała, że przesadziła z tą oceną i zrobiło się jej przykro.

KSIĘŻYC w pełni wzniosł się nad odległą górą, gdy Swanson się obudził.

Z wolna przesunął ręką w dół, aż poczuł uspokajający chłód rękojeści rewolweru.

Noga bolała go nieco mniej.

Leżał, spoglądając na szare kształty skał, wsłuchując się w znajome dźwięki nocy.

Po chwili uświadomił sobie, że ktoś siedzi obok niego i cały się śpiął.

- Piękny księżyc mamy dzisiaj - rzekła cicho stara zakonnica.

Usiadł i wpatrzył się w wozy oraz w cienie na drodze.

- Proszę mi opowiedzieć o dzieciach.

- Niewiele mam do powiedzenia, panie Swanson.

- Spozjrzała w gwiazdy nad głową.

- Przed pół rokiem dowiedziałymy się, że meksykańskie miasteczko wykupiło dziesięcioro amerykańskich dzieci od bandy Komanczów z Sonory, poczym Meksykanie zagrozili, że jeśli nie dostaną więcej pieniędzy, niż sami zapłacili za uwolnienie malców, sprzedadzą ich jako niewolników.

Niestety, nikt nie znał nazwisk krewnych dzieci ani nie chciał wyłożyć pieniędzy, więc zebrał je nasz kościół, a siostra Marta, Rut, Elżbieta i ja przyjechaliśmy po nie.

- A gdzie jest pozostała trójka?

- Zmarła, zanim zdołaliśmy do nich dotrzeć - odparła cicho.

Przez chwilę nie odzywał się, myśląc o dzieciach, skulonych w mroku jaskini.

Potem przypomniał sobie o siostrach, Marcie i Elżbiecie.

Od razu poczuł się lepiej.

- Dlaczego chłopiec nie chce mówić?  
Poruszyła się na piasku.  
- Nie bardzo może.  
Indianie odcięli mu język, bo ciągle płakał z tęsknoty za rodzicami.  
A teraz chyba wstydy się albo boi spróbować.  
Swanson usłyszał, jak gdzieś w ciemności toczy się kamień.  
Po chwili, następny.  
Były to ciche dźwięki, lecz żaden z nich nie miał przyczyn naturalnych.  
Lekko skrzył ciało i z wolna wysunął rewolwer z olstra.  
Zakonnica siedziała o kilka metrów dalej, toteż był pewien, że niczego nie zauważyła.  
Powoli obracał głowę, by wychwycić wszelkie dźwięki w rozgrzanym powietrzu.  
- To obok wozu - rzekła cicho.  
- Panie Swanson, proszę niech pan nie strzela.  
- Ciii - szepnął.  
Teraz zobaczył.  
Nie wiadomo, skąd w najdalszym końcu wozu wyrósł cień, który przysuwał się coraz bliżej.  
Swanson z wolna podniósł rewolwer.  
Gdy obniżył długą lufę, uczył rękę zakonnicy na swoim ramieniu.  
- Proszę, nie - powiedziała.  
Zawahał się, a potem dojrzał, jak cień podnosi się i truchtem wbiega wprost przed nich.  
Pies usiadł parę metrów dalej, wybałuszyl ślepią, jakby widział drogę stąd aż do Santa Fe.  
Wyglądał na wypoczętego i gotowego do drogi, a choć Swanson ucieszył się na jego widok, był zły, że dał się tak wystraszyć.  
- Proszę pani, proszę powiedzieć dzieciom, żeby nie dotykały tego zwierzaka - potrafi odgryźć ramię.  
Absolutnie nie wolno mu wierzyć.  
- Pies nadal wpatrywał się w ciemną dal, nie zwracając na nich uwagi.  
- Jak się wabi?  
- Nie mam pojęcia - odparł.  
- A jak go pan woła?  
- Pies.  
- W takim razie chyba właśnie tak się wabi.  
Skoro pies znalazł się w obejściu, Swanson poczuł się spokojniejszy.  
Rozłożył koc, który podkładał pod siodło i wyciągnął się na piasku, poczym spytał:  
- Jak pani na imię?  
- Siostra Święta Agnieszka - Jej głos brzmiał jakby z daleka.  
- W jaki sposób została pani świętą?  
- Wcale nią nie jestem.  
- Zachichotała.  
- Przybrałam to imię w klasztorze.  
Śmiała się jak młoda dziewczyna, co brzmiało dziwnie w ustach kobiety w jej wieku.  
W istocie, wiele w niej wydawało się niezwykajne.  
Niezwykłe było też mnóstwo rzeczy, które mu się przytrafiły w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.  
Nie bardzo to wszystko ogarniał.  
Niełatwo tę zakonnice nastraszyć - tyle musiał jej przyznać.  
- Były dwie święte Agnieszki - rzekła bezosobowo.  
- Jedna bardzo sławna, Agnieszka z Montepulciano, urodzona w Toskanii w roku Pańskim 1268.

Założyła klasztor i miała mnóstwo wizji.

Przypisuje się jej wiele cudów.

- Uśmiechnęła się.

- Nie odważyłabym się przybrać imienia tak wielkiej świętej.

Wzięłam imię po małej świętej Agnieszce, zamęczonej w Rzymie w roku Pańskim 304.

Miała wtedy trzynaście lat.

- Dlaczego ją zamęczono?

- Nie chciała wyjść za mąż i poświęciła swe dziewictwo Bogu.

A gdy w Rzymie rozpoczęły się prześladowania chrześcijan, zamordował ją centurion.

- A dlaczego przybrała pani jej imię?

- Chyba dlatego, że się z nią utożsamiam.

Miałam siedemnaście lat, kiedy wstąpiłam do klasztoru.

A gdy mój ojciec, który nie był za chwycony tym pomysłem, powiedział, że któregoś dnia będę chciała poślubić mężczyznę i mieć dzieci, odparłam mu, że już poślubiłam Boga.

- To mu się nie spodobało.

- To mu się absolutnie nie spodobało - odrzekła.

Znowu się uśmiechnęła, potem oparła na rękach i spojrzała na niebo, a później na czarny zarys ścian wąwozu.

- Piękna noc.

Długi czas nie odzywali się.

- Kościół siostr jest w Nowym Meksyku czy w Teksasie?

- zapytał wreszcie Swanson, przewlekając pasek świeżego bykowca przez olstro.

- W Pensylwanii.

Spojrzał na ciemną, szczupłą postać starej zakonnicy, siedzącej obok niego.

- To kawał drogi stąd.

Jak siostry się tu dostały?

- Pociągami, dylizansami, wozami, konno i pieszo.

Swanson wbił wzrok w olstro.

- Dlaczego przebyłyście taki szmat drogi do miejsca, którego w ogóle nie znacie?

Nie odpowiedziała od razu.

- Prowadziła nas tu nasza wiara - rzekła wreszcie, patrząc gdzieś ponad jego głowę.

- Czy to jest wystarczająca odpowiedź na pańskie pytanie?

- Niezupełnie.

- Przywiódł nas tu Jezus Chrystus, panie Swanson.

Dzieci cierpiały i były pozostawione same sobie.

Przybyłyśmy, by ofiarować im Bożą miłość.

- Nawet, gdyby miało to kosztować życie siostry i pozostałych?

Uśmiechnęła się.

- Mówi pan o nas, jakbyśmy były ważnymi osobistościami.

A jesteśmy zaledwie trzema drobnymi narzędziami w ręku Boga.

- Teraz uśmiechała się szeroko, odsłaniając dwa duże, przednie zęby.

- Rzadko się pan uśmiecha, panie Swanson.

Bóg lubi, by dobre uczynki spełniano z radością.

- Nie pochodzi siostra z tych stron - rzekł szybko.

- I nie zna Apaczów.

- To Boże dzieci, tak samo jak pan czy ja.

- A tamta zakonnica, Meksykanin, chłopiec i inni?

- To wina ciemnoty i zła.

Podniosła się, jakby te słowa nagle odepchnęły ją i przeszła do najdalszego krańca obejścia.

- Dokąd odeszli Meksykanie, którzy prowadzili wasze wozy?  
za wołał do niej cicho.

- Uciekli pierwszej nocy rzekła, znowu spojrzawszy na niego.

- Myśli siostra, że im się udało?

- Modliłam się o to.

-Jak często modlitwy siostry odnoszą skutek?

Pierwszy grymas niepokoju mignął w kątku jej ust.

Potem uśmiechnęła się.

- Sprowadziły mi pana - rzekła, odwracając się.

Nie widział jej dobrze w ciemności, lecz odgadł, że się modli.

Raz posłyszał swoje nazwisko i poczuł się nieswojo.

Pomyślał, że Meksykanie mieli niewielką szansę na ocalenie.

Apacze czekali.

Nie mniej, jeden z Meksykanów mógł się przedrzeć.

Swanson odnotował to w pamięci jako jedną z możliwych dróg wyjścia.

Nie było ich wiele.

SIOSTRA AGNIESZKA wpatrywała się w sylwetkę mężczyzny, siedzącego zaledwie parę metrów od niej.

Stanowił jedną z Bożych tajemnic.

Po myślała, że jest przystojny jak anioł.

Ale wygląd to jego jedyna anielska cecha.

Widziała już dość ran, by zorientować się, że cienka blizna, biegnąca wzdłuż jego szczęki, została mu po ranie zadanej nożem, a dziurę w nodze spowodowała kula.

Na jej oczach zabił człowieka, a był gotów zabić ich więcej.

Posłużył się zwłokami nieszczęsnej siostry Rut jako straszakiem, bezczeszcząc je nie gorzej od dzikusów.

Co chwila kłął.

Nie przejawiał najmniejszych uczuć religijnych.

Wysunęła brodę i opuściła ją na pierś.

- Wielki Boże - wyszeptała.

- Nigdy nie wątpiłam w Twoją mądrość czy władzę.

Zastanawiam się tylko, dlaczego wysłałeś tego człowieka by uratował dzieci, i jak mam z nim postępować.

- Wpatrzyła się w swe ręce wiedząc, że nie otrzymała odpowiedzi

#### Rozdział 4

LEGUANA ZAGRZEBAŁA się w piasku, zostawiając na wierzchu tylko kolce na grzbiecie i dłuższe różki na krótkim, grubym łebku.

Swanson domyślił się, że poluje na muchy.

Siedział w cieniu, oparty o skałę, pod ręką mając hawkena.

Zbliżało się już południe, a siostry Elżbieta i Marta właśnie skończyły karmić dzieci.

Siostra Agnieszka była w jaskini - pomyślał, że pewnie się tam modli.

Pies spał na grzbiecie w cieniu wozu, rozrzucając w powietrzu długie nogi.

Żar dopiekał do żywego.

Swanson bacznie przyjrzał się drodze, poczym spojrzał w prawo, na dzieci.

Siedziały spokojnie w kręgu cienia obok skały.

Wyglądały na utrudzone, apatyczne i wymęczone upałem.

Wiedział, że gardła muszą mieć równie spieczone, jak on.

Spojrzał na piasek, poczym zaczął wyciągać kamyczki i oglądać je.

Niektóre zatrzymywał, inne od rzucał.

Potem, ruchem równie szybkim, co nieuchwytnym, wyłowił z piasku przysadzistą jaszczurkę.

Bliźniaki, Betty i Nari, siedziały najbliżej niego.

- Spójrzcie.

- Zdjął sombrero i przykrył nim rękę, w której trzymał rogate stworzonko.

Dziewczynki podniosły się z wolna i pomogły mniejszym, Bonnie i Annie, wstać na nogi.

Podeszła również Jessica.

Tylko Millie i chłopiec, którego nazywali Mateuszem, pozostali na swoich miejscach.

Pięć małych dziewczynek otoczyło Swansona półkolem.

- Co pan ma?

- zapytała Anna.

Siostra Elżbieta podeszła do nich i wpatrywała się w wąwóz, przy słuchując się Swansonowi.

Wiedział, że go nie lubi.

- Mam pod kapeluszem teksańskiego diabła - powiedział.

- Niece - rzekła Jessica.

- Nie ma czegoś takiego.

- Musi być, bo go złapałem.

Jest rogaty i ma kolce na grzbiecie, a kiedy się wścieka, pluje krwią.

Dzieci krzyknęły i roześmiały się.

Siostra Elżbieta spojrzała nań gniewnie, podparłszy się pod boki.

Nie zwracał na nią uwagi.

- Mam go jak nic.

Ale zanim go wam pokażę, chcę, żebyście wzięli z mojej ręki po kamyczku, wsunęli sobie dokładnie pod język i tam trzymali.

- Dlaczego?

- spytała Anna.

Była mała i lekkiej budowy, lecz miała bystry umysł i żywe oczy.

- Bo od razu lepiej się poczujecie.

To magiczne kamienie.

- Rozpłaszczył dłoń i pozwolił każdemu wybrać kamyczek.

Włożyli je do ust.

- Dobrze.

A teraz policzę do pięciu.

Raz, dwa, trzy, cztery...

i pięć.

No i jak?

Lepiej?

Wszyscy pokiwali twierdząco.

Wiedział, że tak będzie.

Kamyki pomogą im walczyć z pragnieniem, ściągając do ust ślinę.

- A teraz, kto pierwszy chce zobaczyć teksańskiego diabła?

-Ja - odparła Betty.

Była przestraszona, lecz chwyciła sombrero i podniosła je.

Swanson podsunął jej jaszczurkę i warknął.

Odskoczyła do tyłu, a inne dzieci krzyknęły i rozbiegły się, piszcząc z radości.

- Naprawdę, powinien pan się wstydzić, panie Swanson.

Straszy pan dzieci i opowiada im, że trzyma diabła w garści.

Co za głupstwa chce im pan nakłść do głowy?

Swanson nie spojrzał na siostrę Elżbietę.

Pogłaskał palcem brzuszek jaszczurki.

- Chciałem je trochę zabawić.

Ostatnio chyba nie miały wiele okazji do śmiechu.

Wróciły chichocząc, gotowe do ucieczki.

Przyjrzyjmy mu się - Swanson wyciągnął ku nim rogate stworzonko i jedno po drugim dotykało jego kolczastego grzbietu.

- Powiedział pan, że może pluć krwią.

Siostra Elżbieta szła do jaskini.

Swanson upewnił się, że ich nie widzi.

- Może.

Odsuńcie się.

Kiedy zeszli z biegnącej przed nim ścieżki, Swanson skierował łebek jaszczurki ku otwartej przestrzeni i lekko nacisnął jej brzuszek.

Nie tak, żeby zwierzątko poczuło ból, lecz na tyle, by wywołać reakcję.

Jaskrawo czerwony strumień krwi wytrysnął z oka jaszczurki, ciągnąc się po piasku przez dobre półtora metra.

Dzieciom rozszerzyły się oczy.

Anna pochyliła się nad czerwoną strugą.

- Prawdziwa krew!

- wrzasnęła.

- To teksański diabeł!

Dzieci rozbiegły się ze śmiechem.

PÓŹNIEJ, gdy zaczynało zmierzchać, do Swansona podeszła mała Anna i stanęła tuż przed nim, trzymając coś za sobą.

Twarz miała wychudzoną, ze śladami porozmazywanego brudu.

Wyglądała na uszczęśliwioną.

- Mam coś dla pana, panie Swanson.

- Wyciągnęła trzy drobne pustynne lilie.

- Chciałabym panu podziękować.

- Są bardzo ładne, Anno, ale nie musisz mi dziękować.

Miałem tyle samo uciechy z teksańskiego diabła, co i ty.

- Ale nie za to panu dziękuję.

- Nie?

Więc za co?

Zrobiła zdziwioną minkę.

- Bo przyszedłeś, żeby nas uratować.

Podziękowałam Bogu, tak jak kazała siostra Agnieszka, ale pomyślałam, że powinnam tobie też podziękować.

Mama zawsze mi to powtarzała.

Swanson skinął głową.

- Pewnie bardzo tęsknisz za mamą.

- Taak, ale przecież zabierzesz mnie do domu.

- Spojrzała mu w twarz.

Nie uniósł ku niej wzroku.

Zabierzesz, prawda?

-Jasne.

Gdy dziewczynka odeszła, Swanson nadal wpatrywał się w kwiatki, leżące na jego dłoni.

Zabierzesz, prawda?

Te słowa waliły w jego głowę jak drobna piątka.

Nie miał pojęcia, w jaki sposób wydostanie siedmioro dzieci i trzy kobiety z tej dziury w piaskowcu.

A na wet gdyby mu się to udało, Apacze puszcza się za nimi w pogoń już w godzinę po opuszczeniu kryjówki.

NASTĘPNEGO DNIA koło południa mieli już bardzo mało wody.

Apacze chwycili się dwóch sztuczek, by pogorszyć ich sytuację.

Pierwsza nie była jeszcze najgorsza.

W nocy wypełzali na drogę i wyciągali na kiju jelito jelenia wypełnione wodą, która zaczynała kapać.

Choćby Swanson nie wiem jak się starał, nie mógł oderwać od niego wzroku.

A gdy złapał się na tym, że oblicza odległość między workiem i wozami, unosił lufę hawkena i strzelał.

Apacze, bezpiecznie skryci za skałami, szydzili z niego, ale byli zdumieni.

Większość spragnionych nie zniszczyłaby bukłaka z wodą, nawet gdyby jego widok doprowadzał ich do szaleństwa.

Nie wiedział, jak poradzić sobie z drugą.

To również wyczyniali nocą.

Jakieś pięćdziesiąt metrów od nich, w połowie piaszczystego wzniesienia, które tworzyło łożysko strumyka, posadzili gnijące zwłoki kobiety, która wpatrywała się w nich pustymi oczodołami.

Apacze wbili jeden koniec grubej gałęzi w piasek, a drugi zagłębili w kobietę, nadając jej w ten sposób pozycję siedzącą.

Tylko stara zakonnica patrzyła wprost na trupa, a Swanson zauważył, że jej usta poruszają się w cichej modlitwie.

Tego wieczoru podczas kolacji zakonnice posadziły dzieci naprzeciwko góry.

W połowie posiłku Apacz, ukryty za głazami kilka metrów od trupa, zaczął używać go jako celu.

Stara zakonnica odmówiła modlitwę, poczym nadal głośno rozmawiała z dziećmi.

Ale Swanson zauważył, że ręce chłopca drżą, a jedna z dziewczynek upuściła w piasek filiżankę z wodą.

Swanson odwrócił wzrok.

Jakaś żółć zbierała mu się w gardle, a wiedział, że nie zdoła jej powstrzymać.

Nagle rozkazał kobietom i dzieciom schować się do jaskini.

Siostra Agnieszka obserwowała go, lecz nie odezwała się słowem, póki nie chwycił hawkena i nie wpełził pod wóz.

- Nie potrafia inaczzej - rzekła ostro.

To się nauczą warknąć.

Gestem kazał psu wyjść z obejścia i pobiec w kierunku zmarłej kobiety.

Zwierzę ruszyło ze wzgórza długimi susami, gramoląc się niezgrabnie, płacząc nogi w kurzu na dnie łożyska rzeki, a potem rzuciło się ku skałom, za którymi ukrył się Indianin.

Swanson mocno przycisnął ciężką kolbę hawkena do ramienia.

Z tyłu za nim stara zakonnica powtarzała: "Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...".

Rozległ się pełen przerażenia okrzyk, potem głośniejszy wrzask i niespodziewanie Apacz stoczył się ze skał, a pies rozrywał mu ręce zębami.

Swanson namierzył wojownika, poczym pociągnął za spust i wielka strzelba zagrzmiała.

Indianin upadł na ziemię.

Siostra Agnieszka zaczęła się modlić jeszcze głośniej.

Swanson doszedł do wniosku, że psu grozi niebezpieczeństwo, więc gwizdnął nań, by wracał do wozów.

Stara zakonnica nie chciała spojrzeć na Swansona ani odezwać się do niego nawet słowem.

Później dzieci wyszły, by dokończyć swój nędzny posiłek i wypić resztki wody.

Tylko chłopiec patrzył na Swansona.

Trzy zakonnice siedziały plecami do skał, nie jedząc ani nie pijąc, lecz żywo rozmawiając z maluchami.

Rozmowa toczyła się tak miło, lekko i radośnie, jakby Swanson przysłuchiwał się pogawędce w kółku hafciarskim lub ploteczkom na spotkaniu towarzyskim.

Mówiły o wspnianych ubraniach, które dzieci dostaną, o zabawkach i kompletach serso, pacynkach i innych rozkosznych rzeczach, które na nie czekają.

Opisywały Pensylwanię, wygląd gospodarstw w czasie zbiorów, opowiadały o jeździe na sankach, śniegu i lepieniu z niego aniołów.

Swanson siedział z dala od nich, nasłuchując, skryty w mroku wozów, skąd mógł obserwować drogę i skały.

Chłopczyk, Mateusz, kołysał się w przód i w tył na swoim miejscu, wpatrując się w góry, jakby dostrzegał w nich coś, co było mu bardzo drogie.

Nie zwracał uwagi na rozmowę, z wyjątkiem jednego momentu, gdy siostra Elżbieta powiedziała: "Wasz Ojciec w niebie kocha was".

Wówczas podniósł wzrok i wpatrywał się pytająco w oblicze siostry.

Swanson zmusił się, by nie patrzeć na pokrytą bliznami buzię, lecz wbił wzrok w okrytą nocą pustynię.

Myślał o życiu, które czeka nań w Kalifornii.

Ten dzień był, jak dotąd, najgorętszy, a nocne powietrze kładło się na nich niczym ciepły koc.

Pies leżał pod jednym z wozów.

Swanson wyjął z sakwy kawał suszonego mięsa, podszedł do zwierzaka i przy kucnął.

Pies wyciągnął się, opierając łeb na łapach.

- Dobra robota - Rzucił psu mięso.

Zwierzę zakręciło się w kółko, chwytając płat w łapy, poczym za warczało złośliwie.

Swanson odsunął się.

- Ty niewdzięczny sukin...

- Panie Swanson!

- przerwała siostra Agnieszka rześkim głosem.

Słyszała, jak pies warknął.

- Zwierzę jest chyba trochę newsosie powiedziała.



Patrzyła, jak, wygłodniały, pożera mięso jednym łyknięciem.  
Swanson poczerwieniał na twarzy.

- Zawsze jest newsosie.

To swarliwe, kaśliwe bydło.

Już dawno powinienem był go zastrzelić.

- Więc dlaczego pan tego nie zrobił?

Swanson spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Bo to chyba najlepszy indiański pies na tej ziemi.

Skrzyżowała ramiona na piersiach.

- To tłumaczy, dlaczego pan go trzyma, ale dalej nie rozumiem, dlaczego on trzyma się pana.

- Nikogo nie lubi, a jeżeli już, to chyba mnie.

PÓŹNIEJ, gdy siostry z powrotem odprowadziły dzieci do jaskini, żeby położyć je spać, stara zakonnica ponownie wyszła, aby porozmawiać.

Stała obok Swansona przez parę minut, wpatrując się w wąwóz.

- Piękny jest, prawda?

- spytała cicho.

- Widziałem ładniejsze rzeczy - rzekł, nie podnosząc wzroku.

Usiadła obok niego.

- Panie Swanson, nie mamy wody i zaczyna brakować nam jedzenia.

- Wiem.

- Jak długo dzieci bez tego wytrzymają?

Rozprostowywała szaty, jej usta zacisnęły się w wymuszonym, sztucznym uśmiechu.

- Bez wody, jeżeli nie będą wychodziły z jaskini, może ze trzy dni.

Uśmiechnęła się ciepło.

- To długo.

Może Indianie zmęczą się czekaniem i odejdą.

Innej kobiecie skłamałby.

- Nie, nie odejdą.

- A może ktoś będzie przejeżdżał tą drogą?

- przyszło jej na myśl.

- Tylko kawaleria amerykańska jest na tyle nierozsądna, by jej używać.

Ale i oni starają się robić to jak najrzadziej.

- Więc może spadnie deszcz - spróbowała znowu.

- To mało prawdopodobne, proszę pani.

Pada tutaj tak rzadko, że kiedy trochę pokropi, ludzie uważają to za cud.

Nie odpowiedziała od razu.

- Panie Swanson, chyba nie zdaje pan sobie sprawy, jakie szczęście pana spotkało - rzekła po chwili.

Swanson wbił w nią wzrok.

- Szczęście?

Utknąłem w skalnej dziurze z trzema kobietami, siedmiorgiem dzieci, bez wody i drogi wyjścia.

Nie tak wyobrażałem sobie szczęście.

Pożałował tych słów z chwilą, kiedy je wypowiedział.

- Bóg wybrał pana, by uratował pan te dzieci.

- Przez moment wpatrywała się w swoje ręce.

- Nie wiem, dlaczego został pan wyznaczony, ani dlaczego ciągle wyczynia pan te rozmaite rzeczy, ale fakt pozostaje faktem - Bóg pana wybrał.

Dzięki temu jest pan jednym z najszczęśliwszych ludzi na świecie.

Niewielu zostaje wybranych, panie Swanson.

Wstała nagle i pomaszerowała do jaskini.

- Znajdzie pan sposób.

Przez nocne niebo w tysiącu miejscach przebijało promieniste światło, gorące powietrze stało, nocne ptaki śpiewały gdzieś ponad ścianami, znacznie powyżej miejsca, gdzie siedział Swanson, potrząsając głową.

- Nie zostałem wybrany - wymruczał.

Po PARU GODZINACH posłyszeli piekielne wrzaski.

Swanson od razu zorientował się, co one oznaczają.

Meksykanom nie udało się.

Stara zakonnica wygramoliła się z dziury i słuchała.

Potem przeżegnała się i usiadła, wątlymi plecami zasłaniając wejście do jaskini, by dźwięki nie przedarły się do środka.

Modliła się, póki po jej czole nie za częty spływać kropelki potu.

Po godzinie krzyki ustały i kobieta zasnęła, utrudzona.

Swanson długo oglądał prawo własności.

Niewiele widział w świetle księżycy, lecz wystarczył mu zarys liter, by je odcyfrować.

Potem złożył je i schował do kieszeni kamizelki, czując się znacznie lepiej.

To jedyna rzecz, którą posiadał na stałe.

Po skończeniu ośmiu lat nie miał już rodziny ani domu.

Teraz zdobył miejsce, które stało się jego własnością.

Zaczął myśleć o sobie jako o hodowcy bydła.

Te rozmyślenia sprawiały mu przyjemność.

Odczekał, aż się upewnił, że stara zakonnica głęboko zasnęła, poczym zaczął pakować rzeczy.

Gdy skończył, cicho oparł strzelbę o mur obok niej.

We śnie sprawiała wrażenie martwej, a on czuł, jak coś wzbiera mu w piersi.

Odwrócił się, zarzucił sakwę na plecy i ruszył przez obozowisko.

Nie widział, że zakonnica otwiera oczy i patrzy, jak odchodzi.

DŁUGO stał pomiędzy skałami w wyschłym korycie rzeki.

Patrzył w górę zbocza na ciemne zarysy wozów, ciekaw, czy Apacze zorientowali się, że odszedł i ruszą przeciw kobietom i dzieciom.

Może wszyscy się wycofali, by pomóc dręczyć Meksykanów.

Pies siedział, obserwując wzgórze, zwrócony w kierunku krzyków, które znowu zaczęły dobiegać z zastraszającą regularnością.

Przekonany, że nikt go nie widział, Swanson, trzymając kuszę, z wolna sunął ledwie widocznym szlakiem.

Rana w nodze znowu zaczęła krwawić.

Porośnięty ciernistymi krzewami i jukami szlak piął się stromo, a do tego było dość ciemno, bo księżyc świecił teraz nad odległą ścianą wąwozu.

Gdy Swanson dotarł do jego krawędzi, usiadł na ogromnej, płaskiej skale, wyciągnął lunetę i spojrzał na ciemnoszare morze pustyni, które rozciągało się trzysta metrów pod nim.

Cierpliwie przesunął okrągłą soczewkę po okolicy, szukając obozowego ogniska, błysku zapałki, namiotowej latarni - czegokolwiek, co świadczyłoby o obecności białych ludzi, którzy przyszliby mu z pomocą.

Po dwudziestu minutach pośród panujących niżej ciemności nie znalazł śladu człowieka.

Pustynia wydawała mu się obca i wroga, on zaś czuł się tak zagubiony i samotny, jak nigdy przedtem.

Odłożył lunetę i podjął marsz.

APACZE napoili bydło tam, gdzie znalazł martwego Meksykanina i zakonnice, toteż teraz zastał tylko brudne resztki.

Pozwolił sobie łyknąć spory łyk wody, gdy wtem usłyszał hałas.

Pokuśtykał do krzaków i obserwował.

Niebawem dwóch Apaczów przyprowadziło cztery muły, by je napoić.

Stali tam w nieskończoność, a zwierzęta hałaśliwie wysysały cenną zawartość.

W tej sadzawce gromadziła się woda z otoczenia, toteż minie z tydzień, zanim się znowu napełni.

Indianie popędzili muły z powrotem na szlak.

Swanson szedł za nimi aż do miejsca, gdzie trzymali muły i konie, potem powrócił do sadzawki.

Nim skończyła się woda, zdołał napełnić jedną manierkę i połowę drugiej.

Następnie zdjął chustkę z głowy, namoczył ją w resztkę wilgoci i wytarł twarz.

Poczuł się wspaniale.

Owinął chłodny, mokry materiał wokół szyi i umościł się w gęstych krzewach.

Wsunął bełt do napiętej kuszy i cierpliwie czekał.

Najpierw pojawiło się stado pekari - małych, kędzierzawych świnek, powarkujących i szczekających na siebie nawzajem.

Już wycelował w tłustą maciorę, gdy niespodziewanie rozległo się prychnięcie jelenia.

Postanowił zaczekać.

Kotlet z dziczyzny będzie jeszcze smaczniejszy.

Wielki byk, szary na tle nieba, wkroczył powoli, węsząc.

Swanson ustrzelił go z odległości dwudziestu pięciu metrów.

Wyciął zad, wątrobę i parę innych najsmaczniejszych kąsków, poczym owinął je w skórę jelenia.

Z tą ilością jedzenia i wody dojedzie do najbliższego zbiornika wodnego, a ze stada Apaczów wyłowi sobie konia.

Myślami był już w Kalifornii

## Rozdział 5

SIOSTRY Elżbieta i Marta siedziały obok siebie wewnątrz ogrodzenia, obok popiołów ogniska.

Siostra Marta wyglądała na zaniepokojoną, jej oczy wpatrywały się w cienie poza wozami.

Siostra Elżbieta leniwie rysowała palcem wzory na piasku.

- Modłę się, żeby nic mu się nie stało - wyszeptła siostra Marta.

- Wiem, jak bardzo w niego wierzyłaś - rzekła łagodnie siostra Elżbieta.

- Przykro mi.

- W jej głosie nie było triumfu.

- Nie wierzę, że tak po prostu nas porzucił.

Musiał mieć powód.

Siostra Elżbieta uśmiechnęła się ze współczuciem i wyciągnęła do niej rękę.

Siostra Marta drżała, nawet w nocnym upale.

- Ciekawa jestem, co się czuje, kiedy umiera się tak, jak siostra Rut - powiedziała.

Łkała teraz cicho.

- Święci przeżywali na nowo mękę i cierpienie Chrystusa - od parła dzielnie siostra Elżbieta.

- Pan pomoże nam znieść ból, kiedy przyjdzie pora i ramię w ramię przeniesiemy się do boskiej chwały.

- Przytuliły się.

Siostra Marta uwolniła się z uścisku i uśmiechnęła przez łzy.

- Nadal wierzę siostrze Agnieszce - powiedziała.

- Przysłano go tu, by uratował dzieci i dokona tego.

Stara zakonnica siedziała pod skałą parę metrów dalej, przypatrując się dwu młodszym siostrom.

Przybyły tu z jej powodu.

Podobnie siostra Rut.

Wzięła krucyfiks i zaczęła się modlić.

- Czy myliłam się co do niego, Panie?

Czy nie został posłany od Ciebie?

W głębi serca nadal wierzę, że to Ty go przysłałeś i że wyjechał z powodu znanego tylko Tobie.

Zadrzała.

Czyżby egoistycznie pragnęła, by uwolnił ją od brzemienia cierpień dzieci?

Myśl ta wprowadziła ją w odrętwienie, tak że nie mogła się już modlić.

Przez całe życie walczyła ze swą nieprzejeđnaną samowolą, pragnęła ukorzyć się przed Bogiem.

A teraz, w godzinie najwyższej próby, w chwili, dla której żyła i do której się przygotowywała, miałaby zawieść swego Pana?

Czyżby szatan żerował na jej słabościach, jej miłości do dzieci i wbił klin między nią i Boga?

PRZYWIĄZAŁ już wszystkie ładunki tak, by równomiernie obciążały goły grzbiet indiańskiego kucyka i już gotów był na niego wskoczyć, gdy w myślach znowu ujrzał jej twarz.

Poczuł, jakby dostał pięścią w brzuch - uświadomił sobie właśnie, że może je zostawić, lecz nigdy od nich nie ucieknie.

- A niech to szlag - powiedział, opierając czoło o końską łopatkę.

Zwierzę odwróciło się i popatrzyło na niego.

RAZ CZY DWA, czekając na krawędzi wąwozu, Swanson znowu usłyszał krzyki.

Puścił się szlakiem, biegnącym przez środek wąwozu, mając sakwę przewieszoną przez plecy.

Ciekaw był, czy psa zastrzelono, czy też wreszcie przyszło mu do głowy, by uciec.

Można było na nim polegać, jak na wilgotnym prochu, i na tyle też się zdał.

Straszliwa siła kolejnych krzyków przeraziła go.

Nie chodziło tylko o to, że dochodziły z bliższej odległości.

Teraz wyrażały większą mękę, a ponadto dźwięczał w nich czysty strach.

Zsunął ciężką sakwę z pleców i ukrył ją za dużą skałą w krzakach, umieszczając mniejszy kamyk obok szlaku.

Jeden z Meksykanów znowu wrzasnął.

Swanson ruszył w kierunku jego głosu.

Z doświadczenia wiedział, że obozy Apaczów nie były jakimiś po tężnymi warowniami, a i ten nie różnił się od tych, które kiedyś widział.

Znajdowało się tam pięć czy sześć ognisk do gotowania i sklecony byle jak szałas z gałęzi - indiańska chata - postawiona, jak się domyślił, dla osłony ciał zmarłych wojowników.

Powoli przesunął lunetą po całym obozie.

Kilku Indian siedziało wokół jednego z ognisk, posilając się.

Soczewka znieruchomiła przy grupie, liczącej piętnastu czy szesnastu wojowników, stojących pod sporym karłowatym dębem.

Wrzask wydobywał się z ust człowieka zwisającego głową w dół z gałęzi dębu.

Dwóch Meksykanów przywiązano za kostki skórzanymi rzemieniami, a ich ręce zwisały pół metra nad ziemią.

Spływały po nich strumyki krwi, gdyż raz po raz cięto ich nożami.

Swanson odwrócił wzrok, gdy jeden z Apaczów dźgnął jeńca w oczy końcem kija.

Mężczyzna krzyknął z bólu, a pozostali Apacze wydali z siebie pochwalny ryk.

Swanson odczekał, aż Meksykanin przestanie na chwilę młócić rękami, poczym przeszył mu bełtem czoło, pospiesznie znowu napiął kuszę i położył kres cierpieniom drugiego Meksykanina.

Apacze gapili się ze zdziwieniem na spokojnie kołyszące się ciała, niepewni jeszcze, co się wydarzyło.

Ponownie napinając kuszę, Swanson szukał pośród kłębiącego się tłumu wysokiego wodza, ale nie mógł go dostrzec.

Zobaczył za to Indianina, który wykuł oczy Meksykaninowi.

Swanson wbił mu bełt między łopatki, poczym zaczął uciekać.

Przebiegł obok kamyka przy szlaku, poczym zawrócił, znalazł go, a także swoją sakwę.

Waga niesionego ładunku uniemożliwiła mu bieg, a ponadto narobiłby przy tym hałasu, toteż maszerował tylko żwawo ku wozom.

Słyszał wycie w obozie indiańskim.

Znaleźliby go, gdyby próbował się ukryć, toteż szedł nieprzerwanie.

Wszystko szło dobrze, póki nie dotarł do koryta rzeki i nie zaczął przez nie przechodzić.

Nagle dopadło go dwóch Apaczów.

Jednemu wbił nóż w bok, ale drugi uderzył go kamienną maczugą bojową.

Siła ciosu skruszyła mu kość górnej części lewego ramienia i odrzuciła na bok, na poszarpane skały rzeczne.

Wydał głośny ryk.

Usiłował wydostać spod siebie rewolwer, ale bezskutecznie.

- Indianin szedł na niego z wyciągniętym nożem.

Swanson napiął mięśnie, zamierzając kopnąć Apacza, gdy kątem oka zauważył, że coś frunie w powietrzu i ląduje na wystraszonym wojowniku.

Swanson nigdy w życiu tak się nie ucieszył na widok psa.

Przewrócił się na bok i z trudem wstał na nogi.

Pies i Indianin znajdowali się teraz za nim, walcząc w cieniu.

Swanson zebrawszy wszystkie siły, wspinał się po skalistym zboczu wzgórza.

Wozy znajdowały się trzydzieści metrów nad nim.

W połowie drogi na górę usłyszał świst indiańskich strzał, zasypujących go zewsząd.

Maszerował uparcie po miękkim piasku wzgórza, wspierając się na zdrowej ręce.

Słyszał, jak idą za nim po skałach niżej.

Do drogi brakowało mu jeszcze dwóch metrów.

Czuł, że za chwilę pękną mu płuca.

Przystanął, obejrzał się i zobaczył pięciu wojowników, podążających jego tropem.

Pies rzucił się na jednego z głośnym ujadaniem, aż rozciągnął się jak długi, lecz nie powstrzymało to innych.

Strzelił na oślep przez ramię i dalej gramolił się po zboczu.

Nagle poślizgnął się na skale i upadł na kolana wśród sypkiego piasku i drobnych kamyków.

Uczuł, jak grot strzały uderza w sakwę na jego plecach.

"Sukinsyny!

" - ryknął ochryple.

Po raz pierwszy w życiu zdał sobie sprawę, że przegrywa, że braknie mu sił, by dotrzeć do celu.

Nie był w stanie zrobić kroku.

Ciężar sakwy przygwaźdżał go do zbocza.

Wówczas znalazła się nad nim stara zakonnica.

Pomogła mu podnieść się na nogi i pociągnęła w górę zbocza.

- Panie Swanson - niech pan biegnie!

Jej głos dodał mu energii na tyle, że znowu zdołał się poruszać.

Znaleźli się już na drodze, jeszcze chwila, a zaszyją się za ogrodzeniem, mając na karku ścigających ich Apaczów.

Chwycił hawkena, zrzucił z siebie sakwę i wczołgał się pod wozy.

Z powodu przetrąconego ramienia nie trafił w pierwszą ciemną głowę, która ukazała się na skraju drogi, ale wystrzał z hawkena przekonał Apaczów, że nie ma sensu podchodzić bliżej.

Gdy Swanson nabrał pewności, że nie ponowią próby ataku, obrócił się i rozejrzał po ogrodzeniu.

Siostry Elżbieta i Marta siedziały na ziemi, tuląc się do siebie.

Siostra Agnieszka stała, uśmiechając się do niego.

- Witamy, panie Swanson - rzekła.

- To miły widok dla moich starych oczu.

- Oddychała z trudem.

- Dzięki za pomoc - wydusił z siebie.

- Niech pani natychmiast usiądzie na ziemi.

Proszę.

Obrzucił wzrokiem resztę terenu, poczym znowu spojrzał na nią i uśmiechnął się.

Odwzajemniła mu uśmiech.

W chwilę później poczuł rwanie w kości i z grymasem cierpienia na twarzy powoli zaczął osuwać się na piasek.

Siostra Agnieszka ujrzała bezwładnie opadające ramię i uklękła obok mężczyzny.

- Panie Swanson, jest pan ranny.

- Wprawną ręką przesunęła po jego ramieniu.

- Na szczęście, to złamanie bez komplikacji.

Z bólu zgrzytnął zębami.

- Gdyby wręczyli mi moją głowę na talerzu, tłumaczyłaby pani, jaki ze mnie szczęściarz, że mi ją zwrócili.

Wstała i poszła do wozu, poczym wróciła, niosąc deseczkę oraz zwitek płótna.

Przyglądał się profilowi jej twarzy.

- Poszedłem po wodę.

Szybko uniosła wzrok.

- Wiem.

Dziękuję.

Coś podpowiedziało mu, że zna prawdę.

Siostra Agnieszka nagle pociągnęła złamane ramię, tak że krzyknął przeraźliwie.

- Niech pan się nie rusza, panie Swanson - poleciła.

Położyła deseczkę na zewnętrznej stronie ramienia i zaczęła obwiązywać ją płótnem.

Pomagały jej pozostałe siostry.

Choć siostra Marta uśmiechała się do niego, widział łzy w jej oczach.

Nawet siostra Elżbieta spoglądała nań z zadowoleniem.

- No proszę - rzekła radośnie stara zakonnica.

- Nikt by panu tak pięknie nie nastawił kości.

- Oddarła koniec płótna i zawiązała bandaż.

- Głowę dam, że czuje się pan jak nowy.

- Niece - wyjąkał przeciągle.

- Czuję się paskudnie.

- Można się było tego spodziewać - rzekła.

- Rano poczuje się pan dużo lepiej.

- Chyba lubi pani zadawać ludziom ból - powiedział przez zęby.

Siedział, wpatrując się w piasek, pogrążony w myślach.

Siostra Agnieszka odchrząknęła uprzejmie.

- Panie Swanson, dzieciom dobrze zrobiłby łyk wody.

Oczywiście - dodała - jeśli znalazł jej pan choć trochę.

Pogrzebał w sakwie i wyciągnął manierki.

Siostra Agnieszka wzięła jedną.

Przez chwilę wpatrywała się w jego twarz, poczym rzekła:

- Dzięki za to, że przyniósł nam pan wody, panie Swanson.

- Głos miała łagodny i dodający otuchy.

Jeszcze przez parę sekund spoglądała na jego zmęczoną, brudną twarz.

- I jeszcze raz dziękuję za uratowanie dzieci - powiedziała.

Odwróciła się i poszła w kierunku jaskini.

Podpełzł do skalnej ściany i oparł się o nią, wpatrując się w noc i rozmyślając.

Ból w ramieniu nadal był bardzo dotkliwy, a rana w udzie wcale nie doskwierała mniej.

A skoro mają teraz trochę wody, nie mogą dłużej tu tkwić, jeśli chcą się stąd wydostać żywi.

Musi coś wykombinować

## Rozdział 6

JACO powiedział reszcie, że powinniśmy opuścić to miejsce.

Że kobiety w czarnych szatach są złe.

A także...

- Szaman był drobny i stary, skórę miał pomarszczoną jak u jaszczurki.

Przebrany był za gana - ducha gór - i nosił krótką spódniczkę.

Ciało natarł popiołem.

Wysoka ozdoba głowy chybotwała się na jego wiekowej czaszce.

Wpatrywał się w ogromnego mężczyznę, siedzącego na ziemi obok ogniska, przy którym przygotowywano posiłki.

Przez wiele lat razem walczyli i napadali, byli jak ojciec i syn.

Nie chciał mówić dalej.

Potężny Indianin uniósł wzrok.

- Co jeszcze Kadecie?

Co jeszcze powiedział dziś wieczorem Jaco?

- Że nie powinieneś być dalej wodzem - odparł stary szaman.

- A ty, Kadecie?

- zapytał potężny Indianin, patrząc teraz w ogień.

- Chato, Ponce, Negra - wszyscy.

Jak wy uważacie?

- Nie mogę mówić za innych.

Jeżeli o mnie chodzi, szedłem za twoim cieniem przez te wszystkie lata i dobrze nam się wiodło.

Tak uważam.

Potężny Indianin nazywał się Locan.

Jeszcze nigdy w życiu nie stanął przed takim wyzwaniem.

Jaco był zaledwie pijanym, złośliwym intrygantem.

Niemniej, mówił głośno to, co myślała reszta.

W innym wypadku Kadet w ogóle by o tym nie wspomniał.

Wszystko, cokolwiek Locan dotychczas osiągnął w ciągu dwudziestu lat wojaczki, stało pod znakiem zapytania.

I to z powodu czarnych szat i białego człowieka.

Choć wśród Mimbrów tytuł wodza plemienia przysługiwał pierworodnemu synowi, to dzielny w boju dowódca mógł zyskać szacunek równy każdemu wodzowi.

A on, Locan, wykazał swą odwagę w walce i zdobył dla siebie honorowe miejsce.

Ale przywódca nie powinien nigdy tracić swoich wojowników.

Locan bezradnie zacisnął muskularne pięści.

W ciągu ostatnich trzech dni biały człowiek, zabijający wielką strzelbą i jeszcze inną bronią, która nie robiła hałasu, ale z wielkiej odległości wyrzucała śmiertelne strzały, pozbawił życia pięciu jego ludzi.

Ich martwe ciała, owinięte w koce, spoczywały w chatce z tyłu.

Gdy to się skończy, zabierze zabitych do ich bliskich - poprowadzi pierwszego konia śmierci i jego wojownika do osady, usłyszy krzyki kobiet - i będzie omijany z daleka, jakby to on sam ich zabił.

Zapytają, dlaczego Locan do tego dopuścił.

A on nie znajdzie trafnej odpowiedzi.

Jaco powiedział to, co czuli inni.

Nic z tego nie rozumieli.

Może nawet się bali.



Chcieli odejść.

Zamierzali sprzedać towary z wozu - zabili jedną czarną szatę i jednego Meksykanina.

Mieli konie i muły, ukradzione z gospodarstw na północy.

A jako wędrowcy, tęsknili za górami, które nazywali domem.

Locan wyprostował się i ciaśniej owinął skórzaną kamizelką.

Apacze mogą czekać tygodniami, ale nie należy ich do tego zmuszać.

Już dawno powinni zdobyć wozy.

Mogliby przejąć je wcześniej, lecz Meksykanie z dwóch pierwszych furgonów zdołali przebić się naprzód, przez szczyt wzgórza.

Mknąc, stracili panowanie nad końmi i rozbili się w tym jedynym miejscu, które dawało im osłonę od góry.

Czy to czary czarnych szat?

Tak uważał Jaco.

Może Kadet podzielał jego zdanie.

Locan uniósł wzrok.

- Powiedz Jaco i innym, że mogą odejść.

Ja zostaję, żeby wykończyć białego człowieka i czarną szatę.

Starzec spojrział mu w twarz, zanim przemówił:

- Wiesz, że cię nie zostawią.

Nie dajesz im wyboru.

Locan zdawał sobie sprawę, że Kadet ma rację - żaden Apacz nie zostawi swego przywódcy podczas napadu.

Lecz ostro machnął ramieniem, każąc starcowi iść precz.

Locan pobiegł wzrokiem za starym szamanem, póki nie zniknął mu z oczu w pustynnych ciemnościach.

Potem znowu wpatrzył się w płomienie ogniska.

Niewiasty w czerni różniły się czymś od wszystkich znanych mu kobiet.

Czuły strach - to wiedział.

Krwawiły, krzyczały z bólu, ale nie bały się tak, jak cały babski ród.

Nie błagały o litość dla siebie, lecz dla innych.

Był pewien, że są strażniczkami ducha swej społeczności.

Ta z wozu przy rzece prosiła o ocalenie życia meksykańskiemu woźnicy, poczym spokojnie zmarła jeszcze gorszą śmiercią.

Modliły się do swego boga-ducha, posiadały dziwną władzę.

Tyle słyszał.

Powinny były umrzeć z pragnienia już przed dwoma dniami.

I tak by się zapewne stało, gdyby nie ten samotny biały mężczyzna, który pojawił się nagle i poświęcił się.

I dlaczego?

Czy on też był z misji czarnych szat?

Locan wątpił w to.

Nie wierzył też, jak sądził stary szaman, że człowiek ten jest złym duchem.

Uważał go za głupca.

Apacz poświęciłby życie dla swojej rodziny - nawet dla plemienia - ale nigdy za obcego.

Biali to głupcy, a ten umrze za swoją głupotę.

Ale ów biały człowiek potrafi walczyć, a jego pies to istny demon.

Trudno będzie zabić samotnego strzelca, a Locan wiedział, że to dla niego jedyna szansa, by nie popaść w niełaskę.

Wódz, który traci pięciu Indian w starciu z jednym białym wojownikiem, nigdy już nie poprowadzi swych ludzi do walki.

Locan ma tylko jedno wyjście - zniszczyć tego człowieka, zgarnąć czarne szaty, dzieci i resztę towarów z wozów.

Jeśli mu się to uda, ogłosi swe zwycięstwo nad złymi mocami czarnych szat.

I to wystarczy.

Locan wstał i przeciągnął swe potężne ciało.

Wierzył w Ludzi Snów i głównego boga.Jusna.

Zabije mężczyznę, a potem będzie czekał na znak.

Jego znak.

Jaco to tyle, co kobieta, pomyślał Locan.

SWANSON nieomal majaczył z bólu w ramieniu i nodze.

Siedział wsparty o skalną ścianę góry, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w ciemność wąwozu.

Stara zakonnica spała parę metrów od niego, zwinięta na kocu.

Rzadko zdarzają się tak upalne noce - cały ociekał potem i chciało mu się pić, lecz czuł się zbyt słaby, żeby się ruszyć, a nie był w tak rozpaczliwym stanie, by budzić starą kobietę.

Niech śpi w spokoju, pomyślał - może to jej ostatnia noc.

Potrząsnął głową, by trochę oprzytomnieć i wbił wzrok w jedno z kół pojazdu.

Błądził spojrzeniem od ciemnego ogrodzenia po jeszcze ciemniejszy zarys sylwetki wiekowej zakonnicy.

W cieniu, w czarnych szatach, była prawie niewidoczna.

Swanson przypatrywał się jej przez parę minut.

Musiał przyznać, że miała szczęście w nieszczęściu.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

Jakby wygrywała los za losem na loterii.

Przyjechała tu aż z Pensylwanii, by wykupić siedmioro dzieci z rąk meksykańskich rzeźmieszków.

To niemały wyczyn.

Wynajęła woźniców, wozy i przebyła z nimi dwieście mil przez kraj, który aż roił się od Indian, zanim wpakowała się w tę kabałę.

Lecz szczęście nadal jej nie opuszczało.

Wozy rozbiły się tuż pod skalnym nawisem, tak że Apacze nie mogli ciskać głazów na obozowisko - a jakby tego było mało, pod nawisem znajdowała się jaskinia.

Dzięki niej przeżyli te dwa dni, zanim on się pojawił.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

Nie chciał uważać się za ramię jej szczęśliwej gwiazdy.

Było to zbyt bliskie przeświadczenia siostry, że Bóg go zesłał, by uratował dzieci.

Znikąd nie został posłany, sam zwiewał z Teksasu, by ratować własny tyłek.

Odwrócił wzrok od śpiącej kobiety i znowu zatonął spojrzeniem w czerni nocy.

Cały spięty, trzymał rewolwer na kolanach.

Pies nie powrócił.

Zapadł w sen, budząc się co chwila.

OMAL nie wrzasnął, kiedy się obudził.

Ktoś wkładał mu do ust coś metalowego.

Odepchnął to gwałtownie i uniósł rewolwer.

Na ziemi, z szeroko otwartymi oczyma, leżał rozciągnięty chłopiec, przyciskając do piersi jedną z jego manierek.

Gdy doszedł do siebie na tyle, by móc się odezwać, rzekł:

- Synu, to było niebezpieczne.

Mogłeś zginąć.

Chłopiec usiłował ustać na chromej nodze i przytrzymać manierkę nie rozlewając jej.

Było to trudne, ale zmagął się dzielnie.

Obrócił się i zaczął kuśtykać z powrotem do jaskini.

Swanson uświadomił sobie, że nadal mierzy w chłopca z odwiedzionym kurkiem.

Opuścił rewolwer i zwolnił kurek.

- Napiłbym się trochę wody - powiedział dość głośno, by go chłopiec usłyszał, lecz na tyle cicho, żeby nie obudzić starej zakonnicy.

Chłopiec powoli odwrócił się i podszedł doń, podając mu manierkę obiema rękami.

W świetle księżyca Swanson wyraźnie widział malca.

Zmusił się, by patrzeć mu prosto w twarz.

Sprawiła jeszcze gorsze wrażenie, niż wydawało mu się na początku.

Rozorano ją suszonymi igłami sosnowymi, które przytwierdzono do patyczków i podpalono.

Cała skóra pokryta była bliznami, przesłaniającymi prawie jedno oko, a guzek na policzku rozciągał kącik ust, nadając małej buzi burkliwy wyraz.

Swanson zastanawiał się, czy chłopiec zdążył już przejrzeć się w lustrze.

Miał nadzieję, że nie.

W piersi wezbrał mu gniew przeciw ludziom, którzy wyrządzili dziecku taką krzywdę.

Swanson udał, że długo pije z manierki, poczym wyciągnął ją ku chłopcu.

Mały nie poruszył się.

- Dziękuję - rzekł Swanson, zamykając manierkę korkiem.

Odczekał parę sekund, by się przekonać, czy chłopiec się odezwie.

Skoro uparcie milczał, Swanson włożył mu naczynie z powrotem w ręce.

Mateusz odwrócił się i ruszył w kierunku jaskini.

- Potrzebuję kogoś, kto pomógłby mi tu trzymać wartę - rzekł Swanson.

- Kto dałby radę mnie zastąpić.

Miałbyś ochotę?

Chłopiec przystanął, poczym usiadł parę kroków od Swansona i wyteżył wzrok przed siebie.

- O to mi właśnie chodzi - rzekł mężczyzna.

Siedzieli bez słowa.

Potem Swanson znowu zapadł w sen.

Gdy obudził się po dwóch godzinach, chłopiec nadal tam siedział, wpatrując się w noc, z nożem Swansona w ręce.

Zdumiony Swanson sięgnął do pochwy i stwierdził, że jest pusta.

- Kiedy zwędziłeś mi nóż?

- zapytał, rozespany.

Chłopiec nie odpowiedział.

- Ten nóż jest dla ciebie za duży, ale mam inny, który będzie pasował ci w sam raz.

Swanson sięgnął do leżącej obok sakwy, wyciągnął składany nóż z kościaną rękojeścią i rzucił go chłopcu.

- Należał do mojego brata.

Chętnie ci go oddam.

Chłopiec nie odpowiedział, nie spojrział też na nóż.

Po prostu dalej wpatrywał się w ciemność.

Kiedy Swanson był już prawie pewien, że mały jest głuchy, ujrzał, jak mała łapka sięga po nóż i kładzie go sobie na kolanach.

- Siostra Agnieszka nie może złapać cię z żadnym z tych noży, bo da nam obu po tyłkach.

Właściwie, oddaj mi ten duży.

Wyciągnął rękę do chłopca.

Mateusz ścisnął oba noże.

Swanson opuścił rękę.

- Skąd jesteś, chłopcze?

Z Teksasu czy Nowego Meksyku?

Odczekał z minutę.

Żadnej reakcji.

-Jeżeli chcesz wrócić do domu, musisz komuś powiedzieć, skąd pochodzisz.

Albo kim jesteś.

Jak się inaczej dostaniesz do swoich?

Swanson nie był pewien, czy chłopiec w ogóle go słucha.

Brazowe włosy miał matowe i brudne.

Tych parę łachmanów, w jakie zdołały ubrać go zakonnice, było zszytych z ubrańek dziewczęcych i ledwo przykrywały mu plecy.

Jakiś ciężar przycisnął pierś Swansona, gdy przypomniał sobie dzień, kiedy Komańcze wymordowali całą jego rodzinę.

Teraz rzadko sięgał do tego pamięcią.

Stało się to w ich domku przy rzece Brazos, jesienią 1831 roku.

Właśnie skończył osiem lat.

Mieszkał z matką, ojcem, starszym bratem Joszua i małą siostrzyczką Pean.

Joszua przed paroma miesiącami skończył trzynaście lat i ojciec podarował mu strzelbę skałkową kalibru 36.

Swanson pamiętał, że wtedy starszy brat był dlań największym i najwspanialszym człowiekiem na świecie.

Komańcze nadciągnęli z równin w nocy.

Potem zawsze wydawało mu się, że wyczuł ich obecność, bo obudził się w ciemnej chacie przestraszony i zapłakany, a matka podeszła i zaczęła go tulić.

Wtedy ostatni raz trzymała go w ramionach.

Swanson pamiętał, jak posadziła go sobie na kolanach, kołysząc w starym fotelu bujanym i rozmawiała z nim, starając się uspokoić.

Całowała malca, mówiła, jak go bardzo kocha i położyła do łóżka obok Joszui.

Zaczął mówić, że też ją kocha, ale jakoś mu się to nie udało.

A później już nigdy nie miał okazji.

Żałował tylko dwóch rzeczy na świecie.

Tego wyznania i widoku jej twarzy, którego nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć.

Pamiętał, że miała ciemne włosy, ale jej rysy zatarły mu się zupełnie.

Z tego jedyne go powodu na świecie chciało mu się płakać.

Następnego ranka tuż przed świtem był w pełni rozbudzony.

Ojciec stał przy ciężkich drzwiach, wypatrując przez celownik.

Tkwiał tam prawie przez cały dzień, nie wypuszczając ich na dwór.

Potem, blisko zachodu słońca, wziął strzelbę i powiedział, że musi napić i nakarmić bydło.

Swanson pamięta dziwny ton w głosie matki, kiedy prosiła, by nie wychodził, ale powiedział, że nie ma się czego obawiać.

Zastrzelili ojca w pobliżu stajni.

Matka chwyciła malutką Pearl i wybiegła, krzycząc, by syn wpęłnął do specjalnej kryjówki.

Zrobił, jak mu kazała, biorąc ze sobą starą kuszę.

Nim wsunął się w ścianę za łóżkiem rodziców, obrócił się jeszcze i ujrzał, jak Joszua wyskakuje, ściskając strzelbę.

Usłyszał krzyk Joszui, a potem straszliwy dźwięk, w którym rozpoznał głos matki.

Indiańscy łupieżcy poruszali się z taką szybkością, że nie odnaleźli jego kryjówki.

Wiele dni później znaleziono go, gdy wędrował przez pustynię.

Od tamtej pory opiekowali się nim różni ludzie - ale nikt z rodziny.

Był dla nich raczej robotnikiem, niż krewnym.

Kiedy miał czternaście lat doszedł do wniosku, że będzie pracował dla siebie.

Był zwykłym robotnikiem, skautem i strażnikiem konnym.

Najlepszy był w walce.

Nie szukał kłopotów, ale też ich nie unikał.

Swanson zerknął na chłopaczka, siedzącego parę metrów od niego.

Zważywszy, ile pomiędzy nimi zaszło, chłopiec mógł siedzieć samotnie, o tysiące mil stąd.

Ale Swanson zrozumiał.

- W twoim wieku też już byłem samodzielny - zagadnął.

Wydawało mu się, że chłopiec lekko skinął głową, lecz wcale nie był tego pewien.

-Ale jeśli masz rodzinę, nie jesteś samotny.

Pogrzebał w swojej sakwie i wyciągnął dodatkową koszulę.

Rzucił ją chłopcu.

- Włóż ją.

Jest duża, ale jakoś ją dopasujemy na ciebie.

- Mały nie poruszył się.

- Musimy się dowiedzieć, czy masz krewnych.

LOCAN tkwił ponad godzinę w pobliżu wozów, słuchając, jak mężczyzna przemawia do dziecka.

Leżał wyciągnięty na piasku, obok jednego z kół, zaciskając spoconą rękę na skórzanym uchwycie ciężkiego, krótkiego łuku.

Wkrótce będzie po wszystkim.

Znajdował się mniej więcej w odległości ośmiu metrów od mężczyzny i chłopca.

W obrębie ogrodzenia nie widział nikogo więcej.

Biały wojownik nie był tak dobry, za jakiego Locan go uważał.

Może nie opanował zbyt biegle sztuki wojennej, albo rany i zmęczenie osłabiły jego czujność.

Już dawno powinien był zauważyć Locana.

Szczyściem, nie było psa.

Może któryś z jego ludzi rzeczywiście go zabił, czym chełpili się już wielokrotnie.

Locan czekał, aż mężczyzna zmęczy się i zaśnie, co chyba już mu się parokrotnie zdarzyło.

Ale Locan nie był pewien, gdyż mężczyzna i chłopiec nie rozmawiali normalnie, chłopiec nie odezwał się ani słowem.

Lecz Locan był już blisko.

Gdy mężczyzna znowu zaśnie, uderzy.

Poniżej, po drugiej stronie pasma skał, czekali Kadet i Jaco, wrogowie Locana.

Tylko im zdradził swój plan.

Wiedział, że Kadet mruczy modlitwy dojusna i Ludzi Snów i że ma poważną siłę.

Jaco był najprawdopodobniej pijany.

To nieważne.

Grunt, że będą świadkami jego zwycięstwa.

Locan uśmiechnął się do siebie i podpełził naprzód po piasku na szerokość dłoni.

Potem rozluźnił mięśnie, zaczął oddychać płytko i niezbyt często, serce zwolniło uderzenia, aż w końcu leżał tak nie ruchomo, że godzinę później grzechotnik prześlizgnął się po jego plecach i ramionach nie wiedząc, że mężczyzna żyje.

PUSTYNNY WICHER przemieszczał się przez wąwóz, dmuchając swym gorącym, wysuszającym oddechem na Swansona.

Stara zakonnica zatrzęsała się pod jego tchnieniem, lecz spała nadal.

Chłopiec, wciąż siedząc, wpatrywał się uporczywie przed siebie, choć Swanson za uważył, że jego małe ciało drgnęło przed paroma minutami.

Nawet nietknął koszuli.

Powoli Swanson przesunął się na piasku, by lepiej dopasować się do wybrzuszeń skały.

Wyczuł, że gdzieś nieopodal w ciemności coś się poruszyło.

Może to tylko kojot na drodze albo sowa szybująca na czarnych prądach nocy w wąwozie.

Cokolwiek to było, nie poruszyło w nim jeszcze żadnego nerwu, toteż na razie jego spojrzenie i umysł błędziły leniwie, próbując zapomnieć o bólu.

Słońce zaszło już przed wieloma godzinami, lecz nadal utrzymywał się taki żar, że z każdego pora skóry lał się pot.

Otarł czoło i oczy chustką, poczym wbił wzrok w daleką, urwistą ścianę kanionu.

Wysoko nad nim, na wyniosłych skałach, coś zaniepokoiło gajówkę o żółtym gardziołku.

Łiczi liczi - spłynął ze skał jej świergot.

Powietrze przesycone było ostrym aromatem kwitnących juk.

Swanson pragnął, by pies wrócił.

Zagwizdał nań trzy czy cztery razy, ale zwierzę nie pojawiło się.

Gwałtownie tracił siły.

Długie, pełne napięcia dni, rany, brak snu i wody, zaczęły zbierać swoje żniwo.

W najlepszym razie przetrwa w stanie zdolnym do walki jeszcze przez jeden dzień.

Zaczął myśleć wyłącznie o ucieczce.

Musi być jakiś sposób.

Marzył, by pojechać do Kalifornii.

Poznać kobietę.

Osiąść na gospodarstwie.

Nie chciał, by jego życie skończyło się tutaj, pragnął, by trwało dalej.

Musi tylko opuścić to miejsce.

Dzieci i zakonnice to nie jego sprawa.

Same wpakowały się w tę kabałę.

Potań dłońią włosy i przytrzymał głowę, by przestało w niej tak pulsować.

Zastanawiał się, czy ma umrzeć z grupką maluchów i trzema zwariowanymi kobietami?

Czy to zadanie dla niego?

Czy jego marzenia nic nie znaczą?

Patrzył, jak śpiący chłopiec przechyla się, a potem z wolna opada na piasek.

Swanson przestał bić się z myślami i poczuł się lepiej.

I on też zapadał w sen, z którego co chwila się budził.

SIOSTRA Agnieszka nie spała.

Ona również wyczuła, że ktoś czy coś kręci się w pobliżu.

Początkowo pomyślała, że może Bóg zesłał im pomoc, lecz stopniowo zdała sobie sprawę, że kimkolwiek czy też czymkolwiek okaże się nieznanne stworzenie, nie przyniesie im nic dobrego.

Nie bała się.

Nadal leżała na boku, wsłuchując się w ciche odgłosy wąwozu.

Podczas spędzonych tutaj dni pokochała to dzikie miejsce -jego pustkę, piękno, surowy i prosty związek z Bogiem.

O parę metrów znajdował się chłopiec, a jeszcze dalej z tyłu, mężczyzna.

Po ich ciężkim oddechu poznała, że obaj zasnęli głębokim snem.

Może właśnie taki koniec obmyślił dla nich Bóg.

Może mieli odejść cicho we śnie.

Odmówiła krótką modlitwę, prosząc o przewodnictwo, siłę i zbawienie dla ich dusz.

Myślała o dzieciach, o szczęściu, które dla nich wymarzyła.

Te pragnienia wydawały się tak rzeczywiste i tak słuszne.

Czyżby się pomyliła?

Czyżby chciała narzucić swą wolę Bogu?

LOCAN podnosił się z piachu jednym powolnym, płynnym ruchem, aż stanął wyprostowany w przerwie między wozami.

Chłopiec poruszył się i obudził, patrząc nań szeroko rozwartymi z przerażenia oczami.

Locan nie zwrócił na niego uwagi.

Wbił wzrok w śpiącego mężczyznę.

Indianin wsunął strzałę w cięciwę łuku.

Od białego wojownika dzieliło go nie więcej niż sześć metrów.

Serce Locana zabiło szybciej.

Słyszał, że chłopak mamrocze coś gorączkowo.

Locan naciągnął łuk i wymierzył w mężczyznę.

Chłopiec usiadł i podpełzł między nich.

Wielki Indianin spojrział nań wściekle i skręcił w bok, by znowu mieć swój cel na oku.

Chłopak wrzasnął, lecz mężczyzna nie poruszył się.

Locan naciągnął łuk ze wszystkich sił i akurat, gdy wymierzył strzałę, nie wiadomo skąd, między nim a białym wojownikiem pojawiła się czarna szata.

Miała rozpostarte ręce, jej twarz wykrzywiał dziki grymas, a oczami wwiercała się weń tak, jakby chciała przejrzeć najczarniejsze głębie jego istoty.

Przestraszony Locan wbił w nią pierwszą strzałę, a gdy zakonnica nie zwała się na ziemię, włożył następną i wypuścił ją.

Lecz kobieta nadal nie upadała, nie krzyknęła nawet, patrzyła nań tylko wzrokiem, który przykuwał jego oczy, jakby je usidlił.

Spojrział na nią wściekle z grymasem pewnej pogardy, poczym niespiesznie wsunął trzecią strzałę.

Wtem kątem oka zobaczył, że mężczyzna podnosi się i wyciąga broń.

Locan okręcił się wokół własnej osi i zapadł w ciemność.

Swanson znalazł się przy siostrze Agnieszce akurat, gdy usiadła na piasku.

Twarcz miała zaczerwienioną i z trudem oddychała.

Ukląkł i podtrzymał ją zdrowym ramieniem.

- Proszę pani - wyszeptał.

Spojrziała na niego.

- Panie Swanson, tak się cieszę, że nic się panu nie stało.

- Od czekała chwilę, by złapać oddech, poczym uśmiechnęła się.

- Tyle razy zarzucał mi pan, że pana ranie, więc tym razem naprawdę chciałam temu zapobiec.

Swanson nie był w stanie odwzajemnić jej uśmiechu.

- Tak właśnie pani zrobiła, za co bardzo dziękuję.

- Zawahał się.

- Jak się pani czuje?

Zamrugnęła.

- Z przyjemnością pragnę panu powiedzieć, że czuję się dobrze.

- To nie pora na bohaterstwo, proszę pani.

Widziałem, jak wypuszczał strzałę prosto w panią.

Stał tak blisko, że nie mógł chybić.

- Zgoda, ale nadal uważam, że nic mi nie jest.

- Znam ten stan.

Żołnierze w czasie bitwy tracą nogi i nawet o tym nie wiedzą.

- Zaczerwienił się.

- Muszę panią obejrzeć.

- W takim razie - rzekła - wolalabym, żeby pomogły mi siostry Elżbieta i Marta.

Zaczęła się podnosić, a Swanson podtrzymywał ją pod ramię, by się nie przewróciła. Zdumiała go jej kruchość.

Podeszli do otworu jaskini.

Gdy znalazła się w środku, postać chwilę u wejścia, poczym przypomniał sobie chłopca i odwrócił się.

Mateusz nadal siedział w piachu.

Swanson podszedł doń, ale dzieciak nawet na niego nie spojrzał.

Miał na sobie teraz koszulę Swansona.

- Uratowałeś mi życie.

Ty i siostra.

Chłopiec nie poruszył się, ani mu nie odpowiedział.

- Odezwałeś się - rzekł Swanson.

- To mnie właśnie obudziło.

Usłyszałem, jak mnie wołasz.

Przemówiłeś i uratowałeś mi życie.

Dziękuję.

Mały poruszył się na piasku, ale nic nie powiedział.

Swanson obszedł wozy, by się upewnić, że żaden inny Apacz nie ukrywa się tam w zasadzce.

Jeszcze raz gwizdnął na psa.

Kiedy wrócił, siostra Agnieszka ciągle jeszcze była w jaskini, toteż zaczął chodzić tam i z powrotem przy wejściu.

W parę minut później pokazała się siostra Elżbieta, a tuż za nią Agnieszka i Marta.

Stara zakonnica uśmiechała się.

- Mam szczęście jak święty Patryk.

Ani zdraśnięcia.

- To niemożliwe.

Siostra Agnieszka wysoko uniosła ramiona, a pozostałe zakonnice rozciągnęły jej habit.

- Znalazłyśmy dwie dziury, tam gdzie strzały przeszły przez rękawy, ale żadna nie trafiła.

Wyciągnęłam ręce.

Indianin uznał, że jestem dużo grubsza.

- Zachichotała.

Swanson spojrzał na siostrę Elżbietę.

-Jest pani pewna?

Siostra Elżbieta skinęła twierdząco.

Swanson popatrzył na ciężki, czarny materiał, rozdarty trochę w dwóch miejscach i z niedowierzaniem pokręcił głową.

Stara zakonnica nadal uśmiechała się lekko.

Swanson powrócił do swego miejsca pod skałą i usiadł.

Był niebezpiecznie słaby, potrzebował odpoczynku.

Większość wydarzeń z ostatnich paru dni wydawała mu się pozbawiona sensu, lecz to najnowsze było już zupełnie absurdalne.

Wojownik Apaczów chybia celu, stojącego trzy metry przed nim.

I to dwukrotnie.

Tym razem nie była to kwestia szczęścia.

Starą kobietę chroniło zaklęcie.

Bez względu na przeciwności, zawsze zwyciężała.

A niech to, przecież praktycznie nie było szans, by w ogóle trafili na siebie na tym pustkowiu, gdzie diabeł mówi dobranoc.



Zaczął się zastanawiać, czy mężczyźni, którzy wypędzili go z Teksasu, celowo zaprowadzili go na to odludzie.

Może było mu to przeznaczone.

Ale chyba za bardzo się zagalopował.

Jeśli nie będzie uważał, skończy jak ona, powtarzając, że zesłał go Bóg

## Rozdział 7

RANEK wstał wczesnie nad wąwozem.

Dzień zapowiadał się jako jeszcze jeden męczący skwar w długim, nieprzerwanym szeregu rozpalonych skał i piasku.

Swanson wstał, rozdygotany i usiłował rozprostować się, ale natychmiast tego zaniechał.

Ból w ramieniu i nodze szarpnął go niczym łapa drapieżnika.

W ogrodzeniu było pusto.

W nocy stara zakonnica zabrała chłopca do środka.

Swanson powiedział jej, że byłoby najlepiej, gdyby trzymała ich wszystkich w jaskini.

Świeca wypaliła się i wiedział, że dzieci płaczą w ciemności, lecz w chłodniejszym powietrzu dłużej przeżyją.

Wody zostało im najwyżej jeden, dwa łyki na głowę.

Swanson wiedział, że skoro nie ma psa, Apacze zbliżyli się bardziej do wozów.

Mógłby próbować jeszcze raz przedostać się do sadzawki, ale wątpił, czy mu się to uda.

A bez wody dzieci nie przetrwają jutrzejszego dnia.

Chciał po prostu usiąść i odpocząć, ale zwalczył w sobie tę chętkę i zmusił się, by obejść ogrodzenie.

Na pewno istnieje jakiś sposób, żeby się stąd wydostać.

Przy odrobinie szczęścia dzieciom i zakonnicom uda się wymknąć z wąwozu w nocy.

Lecz gdy Apacze zorientują się, że oblegani uciekli, zaczną ich ścigać, a w otwartym polu nigdy ich nie obroni.

Z tym kłopotem nie mógł sobie poradzić, odkąd się tu dostał.

Nadal powoli zataczał szerokie kręgi, a każdy niepewnie stawiany krok wywoływał rozdzierający ból.

Oparł się ręką o jeden z wozów, by nie upaść.

I wtedy go zobaczył.

Pies leżał na boku, w pobliżu skał, w połowie skryty pod wozem.

Ślepia miał zamknięte, toteż Swanson pomyślałby, że zwyczajnie śpi, gdyby nie wyciągnięty na ziemię język, wyschnięty i popękany.

Łopatki i bok pokrywały mu grudki skrzepłej krwi.

Przykucnąwszy przy nim Swanson dojrzał ślad krwi, który pozostawiło jego ciało na piachu wzdłuż drogi.

Dzielnie usiłował odpowiedzieć na gwizdanie swego pana.

Psie powiedział Swanson.

Zwierzę nie poruszyło się.

Ostrożnie dotknął jego łba z boku.

Pies, w najlepszej formie, był niebezpieczny.

Ranny, mógł odgryźć rękę.

Tym razem w ogóle nie zareagował.

Przez parę sekund poklepywał go po pysku, a później, skoro dalej się nie ruszał, zaczął go oglądać i przesuwając ręce po jego ciele.

Grzbiet złamała mu strzała, która uszkodziła zwierzęciu kręgosłup powyżej ostatniego zebra.

Okaleczywszy go w ten sposób, Indianie rozcięli mu brzuch, a potem puścili wolno, wiedząc, że zdechnie - ale przedtem doczołga się do swego pana.

Chcieli, żeby się doń doczołgał.

Delikatnie głaskał szorstką sierść, długie, kościste nogi, wychudły grzbiet.

Potem zauważył delikatne pulsowanie żyły.

A więc jeszcze żyje.

Swanson ostrożnie zaniósł bezwładne ciało w cień góry.

Rozłożył koc, który zwykle trzymał pod siodłem, położył na nim psa, poczym pospiesznie przyniósł bukłak z jeleniej skóry, w którym trzymał trochę wody dla siebie.

Usiadł, ułożył sobie psi łeb na biodrze i sączył mu wodę do pyska.

Gdy powtórzył to kilkakrotnie, zwierzę przełknęło i usiłowało poruszyć spuchniętym językiem.

Swanson napoił psa całą swoją wodą, poczym oparł go sobie na kolanach i siedział ze skrzyżowanymi nogami, trzymając zwierzę w ramionach niczym przerośnięte dziecko. Wpatrywał się w promienne słońce poranka, kołysał psa i przemawiał doń cicho.

- Kalifornia to zupełnie inna kraina.

Jest tam mnóstwo wody i zielonej trawy.

Nasze gospodarstwo leży koło Pacyfiku.

Od wody idzie chłód i nadmorskie wietrzyki.

Będziemy hodowali bydło.

- Z wolna głaskał łeb psa.

- Zbudujemy stodołę i mały domek.

Żadne luksusy, ale na pewno postawimy werandę, na której będziemy siadywali i wpatrywali się w ocean, a ty zrobisz to, co umiesz najlepiej, czyli pójdiesz spać.

Pies przekręcił łeb, wziął rękę Swansona w zęby i ugryzł.

Ale ugryzienie nie było mocne i zaraz potem polizał grzbiet jego dłoni spuchniętym językiem. W ułamku sekundy opadł bezwładnie.

PÓŹNIEJ tego ranka siostra Agnieszka przeszła przez ogrodzony teren i stanęła, wpatrując się w człowieka oraz psa, którego trzymał na kolanach.

Uważnie im się przyjrzała, poczym uklękła przed Swansonem.

- On zdechł, panie Swanson.

Niech pan pozwoli, że go zabiorę i przygotuję wszystko, by go pogrzebać.

Swanson potrząsnął głową.

Trzymał psa do końca dnia, od czasu do czasu przemawiając do niego.

Chłopiec siedział obok.

Swanson opowiadał psu o rzeczach, o których nigdy mu nie mówił podczas wspólnie spędzanych dni i nocy.

Zastanawiał się, co go powstrzymywało.

Dlaczego przez ten cały czas nigdy nie podzielił się z nim czymś więcej niż jedzenie i picie?

Pies był dobrym słuchaczem, zawsze robił to, o co go poproszono, miał dość sprytu, by wiedzieć, kiedy uniknąć niebezpieczeństwa, a kiedy stawić mu czoło.

Zawsze gotów był oddać życie za swego pana.

A jednak nie udało im się zaprzyjaźnić.

Nie potrafili się otworzyć ani okazać uczucia.

Dopiero śmierć zbliżyła ich do siebie.

Jakże teraz pragnął spędzić choćby jedną noc przy ognisku z czuwającym w pobliżu psem.

Tylko jedną noc.

Wówczas podzieliłby się z nim swoimi myślami.

Powiedziałby mu wszystko, o czym pies nie miał pojęcia.

Zwierzak dowiedziałby się wówczas, że był jego jedynym przyjacielem.

Wraz z nim umarło coś w Swansonie, do czego bał się przyznać.

Tuż przed południem siostra Agnieszka wyprowadziła dzieci z jaskini na jaskrawe słońce, palące straszliwym żarem.

Stały przez chwilę, zasłaniając oczy rękami i patrząc przez palce, co sprawiało im ból.

Zdaniem Swansona, temperatura dochodziła do czterdziestu pięciu stopni.

Siostry ustawiły dzieci rządkiem nad małym paskiem cienia, który graniczył z podnóżem góry.

Niemal natychmiast dzieci zaczęły siadać, niczym roślinki, wędnące pod skwarnymi promieniami.

Twarze miały zaczerwienione i widać było, że są bardzo słabe.

- Siostrzo Agnieszko - zawołała siostra Elżbieta.

Stara zakonnica przerwała pracę i podeszła do młodszej.

-Tak?

Siostra Elżbieta nie odrywała wzroku od dzieci.

Na górnej wardze miała drobniutkie kropelki potu, a jej oczy - piękne, duże, o zielonkawym odcieniu - były głęboko zapadnięte.

- Nie wytrzymają długo na tym upale.

Powinnyśmy zaprowadzić je z powrotem do jaskini.

Siostra Agnieszka spojrzała poprzez ogrodzony teren na mężczyznę i psa.

- Siostrzo, niech siostra spróbuje zrozumieć ...

- Głos jej zawisł, jakby zagłębiła się w rozmyślaniach.

- Zrobiliście dla nich wszystko, co mogliście.

Siostra Elżbieta pobiegła za jej spojrzeniem, poczym dość gwałtownie pokręciła głową.

Zaczynała rozumieć, o co chodzi siostrze Agnieszce.

Ale oparła się tej myśli.

- Przebywanie na słońcu to samobójstwo.

Niech mi siostra po zwoli zabrać je do cienia.

- Nie - odparła łagodnie stara zakonnica.

- Nie pozwolimy im umrzeć jak zwierzętom, kryjącym się po ciemnych jaskiniach.

To Boże dzieci.

Jeżeli mają umrzeć, niech umrą w jasnym blasku Bożego słońca.

- Ale przecież nie muszą umierać - siostra Elżbieta płakała cicho, odwrócona plecami do dzieci.

Siostra Agnieszka objęła ją ramionami.

- Siostrzo, nie mamy już szans.

Musimy spojrzeć prawdzie w oczy i przygotować się na godny koniec.

Jesteśmy to winne dzieciom i Bogu.

- Młodsza siostra cicho łkała jej na piersi.

-Cicho, dziecko.

Przestraszysz je.

Siostra Elżbieta otarła twarz skrajem habitu.

- Przepraszam.

Ma siostra rację.

Zrobię wszystko, co trzeba.

- Wiem o tym, dziecko.

Wjednej menażce została jeszcze woda, z której stara zakonnica od lała ćwiartkę do pustej manierki i umieściła w cieniu nieopodal skał.

Następnie trzy siostry zaczęły iść wzdłuż szeregu wyczerpanych dzieci.

Zatrzymywały się przy każdym, nalewając do srebrnego kielicha tę samą miarkę wody, około trzech łyków.

Dzieci skwapliwie je wypijały, patrząc pytająco w twarze zakonnice.

Gdy skończyły, siostra Elżbieta zaproponowała pozostałą resztkę zakonnicom.

Ponieważ obie odmówiły, wlała ją do kielicha i dała Millie - ciężarnej dziewczynie.

Siostra Agnieszka rozpostarła na skale obrus z purpurowego jedwabiu.

Postawiła na nim buteleczkę czerwonego wina i kawałek suchego, meksykańskiego placka.

- Szkoda, że nie ma księdza - rzekła zakłopotana siostra Marta.

Pulchną twarz miała mokrą od potu.

- Sakramentów nie wolno udzielać nikomu, prócz księdza.

- Zrobimy to, co musimy.

Bóg zrozumie - odparła zakonnica, przewracając stronicę starej, oprawnej na czarno książki.

Uklękła przed dziećmi i spojrzała im w twarze, zdumiona i wzruszona ich wewnętrznym spokojem.

Kiedy skierowała wzrok na Mateusza, ujrzała, że przygląda się mężczyźnie i psu.

Potem podniósł się z wysiłkiem i pokuśtykał bliżej Nata.

Bliźniaczki, Betty i Nari, przyglądały mu się, a potem również wstały.

To samo zrobiła dziewięcioletnia Jessica.

Później wstała Millie, a za nimi reszta.

Mateusz zatrzymał się przed Swansonem i zdechłym psem, a pozostałe dzieci ustawiły się szeregiem za nim w palącym słońcu.

Mężczyzna nie spojrzał na chłopca, a chłopiec patrzył tylko na psa.

Wyciągnął rękę i dotknął jego ucha, a potem odwrócił się i utykając niezdarne wrócił na swoje miejsce w cieniu.

Stara zakonnica z trudem powstrzymywała łzy, widząc, jak każde dziecko mozolnie brnęło do mężczyzny i psa, niektóre tylko na nich patrzyły, inne zatrzymywały się, by dotknąć zwierzęcia - lecz żadne nie odezwało się do człowieka.

A jednak wszystkie dzieliły jego miłość do psa, tak jak to tylko dzieci potrafią.

Jedynie dziewczynka o imieniu Anna dotknęła ręką twarzy mężczyzny.

Nie zareagował.

Kiedy wszystkie dzieci wróciły do cienia, siostra Agnieszka odchrząknęła.

- Dzieci - rzekła silnym, choć trochę łamiącym się głosem.

- Wiem, że jesteście spocone i zmęczone.

Ale musimy dowiedzieć się paru rzeczy o Bogu.

To ma wielkie znaczenie.

Słuchajcie bardzo uważnie.

PÓŻNYM POPOŁUDNIEM siostra Agnieszka udzieliła Mateuszowi ostatniej Świętej Eucharystii.

Większość dzieci zapadła już w niespokojny sen.

Siostra Marta zemdląca przed godziną, a teraz odpoczywała, oparta o zbocze z piaskowca.

Siostra Elżbieta siedziała obok niej.

Siostra Agnieszka starannie rozłożyła przed nimi czerwony obrus, poczym uklękła niepewnie i umieściła na nim kielich oraz ostatni kawałek placka, pokruszonego na trzy małe kawałki.

Żar walił ją jak młotem w szyję i plecy.

Obie siostry podniosły się i uklękły przed nią.

Siostra Agnieszka zastanawiała się, ile razy w ciągu swego żywota przyjmowała Świętą Eucharystię.

Czy to istotne?

Ta będzie najważniejsza, bo już ostatnia.

Ręce jej drżały.

Wiedziała, że tamte to widzą.

Potem zauważyła, że ich ręce też drżą, więc nie ma to już znaczenia.

Skoro upał nie przestał ich bombardować, a nadzieja nie dała o sobie znać w żadnej postaci, zasnęli.

Wszyscy, z wyjątkiem siostry Agnieszki i Swansona.

Stara zakonnica podniosła się z trudem, wzięła manierkę z miejsca, gdzie ją ukryła w skałach i podeszła do mężczyzny i jego zdechłego psa.

Siedział bez kapelusza w pełnym słońcu przez cały dzień, a na po parzonej twarzy zaczęły tworzyć się pęcherze.

Większość mężczyzn umarłaby.

Ale w głębi serca wiedziała, że Nat Swanson nie jest taki, jak większość mężczyzn.

Majaczył już prawie z odwodnienia, a gdy wreszcie na nią spojrzął, z jego niebieskich oczu wyczytała, że jej nie poznał.

Z powrotem spuścił wzrok na psa.

Zakonnica uklękła, czekając aż rozjaśni mu się w głowie.

- Panie Swanson zaczęła cicho muszę z panem porozmawiać.

Koniec jest już blisko.

Rozdałyśmy dzieciom ostatnie resztki wody.

Obawiam się, że dziś w nocy zaczną nas opuszczać.

Do jutra prawie wszyscy odejdziemy.

Urwała, czekając na jakiś znak, że ją słyszy.

Nie odrywał wzroku od psa.

Sprawiał wrażenie, jakby zaglądał przez okno do piekła.

Gdy mówiła, bolało ją wyschnięte gardło, ale musiała ciągnąć dalej.

- Zostawiłam dla pana odrobinę wody.

Nie tyle, by utrzymać przy życiu dzieci, ale wystarczy, żeby zorientował się pan, gdzie

Apacze trzymają konie.

Jeśli zabierze im pan jednego, może uda się panu uciec.

Znowu odczekała.

Lecz nic w jego twarzy nie wskazywało, że w ogóle ją usłyszał.

- Zrobił pan dla nas tyle, ile mógł.

Ale nie ma powodu, żeby pan tutaj umierał.

Siostra Elżbieta, Marta i ja mamy powód - dzieci.

Nie mamy dokąd pójść.

Ale pan nie jest gotów, panie Swanson.

Musi pan jeszcze niejedno zrobić, zarządzić, rozstrzygnąć.

Nie może nas pan uratować.

I nigdy pan nie mógł.

Dopiero teraz to sobie uświadomiłam.

Nie powinnam była obarczać pana takim brzemieniem.

Proszę mi wybaczyć.

Postawiła przed nim manierkę na piasku, poczym delikatnie do tknęła jego dłoni.

- Jest pan dzielny człowiekiem, panie Swanson.

Rozumiem, dla czego Bóg tak pana lubi.

Ale pan i On musicie rozwiązać między sobą jeszcze wiele spraw, zanim będzie pan gotów stanąć z nim twarzą w twarz.

Niech pan weźmie wodę i idzie, póki jeszcze zdoła.

- Przy patrywała mu się przez parę minut.

- Czasami, panie Swanson, dużo łatwiej jest umrzeć, niż żyć.

Wstała, choć kręciło jej się w głowie i zdała sobie sprawę, że doszła do kresu sił.

Teraz ruszy się tylko pod warunkiem, że Bóg ją podtrzyma.

Wtem ujrzała, że Swanson czyni gest w jej stronę i walcząc z własną słabością, pochyliła ku niemu twarz.

- Ma pani ołówek?

- zapytał ochryple.

Zdumiona, skinęła głową, po czym, zataczając chwiejny krąg, do brnęła do torby podróżnej.

Gdy dała mu ołówek, po prostu wziął go do ręki i położył sobie na kolanach.

- Czy jeszcze coś?

Przecząco potrząsnął głową.

## Rozdział 8

LOCAN wspinał się po wąskim, skalistym szlaku, który wrzynał się niebezpiecznie w bok góry, butnie odmawiając zerknięcia w dół, w głęboką przepaść postrzępionych skał. Prowadził muła, któremu przytroczył do grzbietu ciało zmarłego wojownika.

Zmarły wojownik nazywał się Carlana.

Pochodził z rodu Komanczów.

Jako dziecko został porwany w czasie walk międzyplemiennych i odtąd opiekowało się nim całe obozowisko, choć nigdy nie zaadoptowała go żadna rodzina.

Tak więc był samotny i zdany tylko na siebie, stając się przez to człowiekiem ostrym i twardym, co Locan bardzo cenił.

Był jedynym przyjacielem Carlany i sam go pochowa.

Na wysoczyźnie szlak rozszerzał się, a z boku prowadziła droga ku samej górze.

Na przejściu było dość miejsca dla człowieka, lecz nie dla muła - perć wiodła ku strzelistym, pionowym skałom, potężnym głazom i olbrzymim występom.

Tworzyły one dziki i samotny zakątek.

Locan zatrzymał muła i odwiązał rzemienie, które przytrzymały Carlaną, owiniętego w wełniany koc o jaskrawych barwach.

Za rzucił sobie zmarłego wojownika na ramię, wyciągnął starą strzelbę i wspiał się po paru skałach aż do szczeliny.

Szedł szlakiem między skalnymi zboczami, aż dotarł do głębokiego wyłomu w górskiej ścianie.

Szczelina liczyła dwa metry długości, ponad metr wysokości i zachodziła głęboko w skałę. Stanowiła idealny grobowiec.

Ostrożnie położył owinięty w koc ciężar i pociągnął materiał od tyłu, by móc widzieć twarz przyjaciela.

Locan przez parę minut wpatrywał się w jego rysy, poczym zaczął malować jedną część twarzy na niebiesko, drugą na czerwono.

Gdy skończył, Carlana wyglądał, jakby tylko zasnął.

Locan położył obok przyjaciela jego starą strzelbę o ośmiokątnej lufie.

Gdy wsunął ciało w szczelinę tak głęboko, jak się tylko dało, zaczął zasłaniać otwór skalnymi odłamkami.

Kiedy skończył, każda szpara wypełniona była kamieniami.

Odwrócił się i oparł o górką ścianę.

- Carlano - rzekł głośno do otaczających go, wyniosłych kamiennych ścian.

- Wiem, że żyjesz teraz wśród nieziemskich istot.

Chcę, byś porozmawiał z Ludźmi Snów i opowiedział im o moim losie.

Za pewnij ich, że będę siedział i czekał, póki nie otrzymam od nich znaku.

Carlano - rzekł, błagalnie wznosząc głęboki głos - przemów za mną do górskich bóstw.

Locan wiedział, że to jego ostatnia szansa.

Nawet Kadet był przekonany, że zaklęcia czarnych szat są zbyt potężne dla Locana.

Jeżeli jak najrychlej nie zniszczy czarnych szat i białego człowieka, na zawsze zostanie okryty hańbą.

Tuż przed zachodem słońca górską pustynia zaczyna zmieniać barwy.

Tak się właśnie działo teraz.

W miarę, jak zbliżał się wieczór, na krainę białego piasku, rdzawych skał i ciemnobrązowej roślinności padały różowe i błękitne poblaski.

Ale upał nie zelżał.

Lgnał do kamieni i unosił się w powietrzu niczym wszechmocne stworzenie.

Dzieci leżały tam, gdzie ułożyły je zakonnice.



One również zasnęły.

Nie spał tylko chłopiec, siedzący parę metrów od mężczyzny.

Zebrawszy wszystkie siły, Swanson położył psa na kocu, poczym podniósł się.

Ból w karku świdrował go aż do głębi, wiedział też, że ma kłopoty z nerkami.

Powoli podniósł manierkę i chwiejnym krokiem podszedł do najdalszego wozu.

Ramię i rana w nodze do skwierały mu straszliwie.

Wyjął korek z manierki i pociągnął łyk wody.

Była gorąca, ale miała cudowny smak.

Poczekał parę minut, za nim napił się jeszcze trochę.

Gdy wysączył połowę wody, zakorkował manierkę na nowo i włożył do wozu.

Potem zaczekał.

Zwolna wracała mu energia.

Gdy zdołał już wstać, nie czując zawrotu głowy, wyciągnął łopatę spod wozu i podszedł do podnóża góry.

Wybrał skałę wielkości mniej więcej miski i, wyteżając wszystkie siły, przetoczył ją na bok.

Potem ukląkł, wyczerpany i zaczął kopać zdrową ręką.

Psa, owiniętego kocem, który Swanson trzymał zawsze pod siodłem, złożył do dołu.

Trochę żałował, że stara zakonnica śpi i nie powie nad nim choć paru słów.

Siedział, patrząc na wybrzuszenie pod kocem.

- Będzie mi ciebie brakowało.

Psie - rzekł w końcu.

Gdy zasypał dół, z powrotem przetoczył ciężki kamień na dawne miejsce.

Potem wyciągnął z kieszeni ołówek i prawo własności.

Siedział, zastanawiając się przez chwilę.

Następnie napisał: "Czerwiec, 1858.

To prawo własności należy do mego najbliższego krewnego -jeżeli kiedykolwiek się odnajdzie.

Nataniel Swanson, właściciel rancza".

Położył kartkę na piasku i przykrył ją piramidką małych kamyków, znany sposób oznakowania ważnego miejsca na pustyni.

Jeśli ktokolwiek kiedykolwiek trafi na to odludzie, znajdzie jego prawo własności.

A może kiedyś objawi się najbliższy krewny.

Ta myśl sprawiła mu pewne zadowolenie.

Przechodząc koło chłopca Swanson spojrzał na niego.

Nie ruszał się już od dawna i Swanson zastanawiał się, dzięki czemu mały jeszcze się trzyma.

Trzeba przyznać, że ma charakter.

Przystanął przed starą zakonnica.

W wieczornym świetle nie rzucał zbyt silnego cienia, lecz to wystarczyło, by ją obudzić.

Spojrzała nań spod przymrużonych powiek i uśmiechnęła się słabo.

- Tak się cieszę, że pan jedzie - wyszeptła ochryple.

- Kiedy dotrze pan do kościoła -jakiegokolwiek - niech się pan za nas pomodli.

- Niech pani przygotowuje dzieci.

Zabieram je stąd - rzekł.

LOCAN siedział u wejścia do górskiego przesmyku, patrząc, jak ostatnie promienie słońca zabarwiają pustynię na różowo.

Nie poruszył się przez ponad dwie godziny.

O dziwo, poczuł narastające pragnienie, by wstać i jeszcze raz przejść wąskim przesmykiem obok szczeliny w skałach, gdzie pochował Cariana, do niezwykłego miejsca w skale, które widział tylko oczyma duszy.

Wizja skały ukazała mu się niemal od razu kiedy usiadł, tak nagle, że właśnie dlatego oparł się jej.

Sądził bowiem, że spędzi długie nocne godziny, może nawet przeczeka do jutra, nim nawiedzi go ten nadprzyrodzony obraz.

Skoro Locan nie mógł uwolnić się od wizji skały, wstał i zaczął iść przesmykiem. Kiedy mijał grób Cariana, delikatnie przesunął ręką po skale, milcząco pozdrawiając zmarłego przyjaciela.

Tutaj wąski szlak piał się stromo w górę, toteż wojownik, pochylony do przodu, zaczął się wspinać.

Ciężko dysząc, wszedł na wierzchołek.

Tu gwałtownie się zatrzymał.

Parę metrów przed nim, z masywnej ściany potężnej czerwonej skały, wystawał pojedynczy kamień z jego wizji.

Był identyczny w każdym szczególe, jego powierzchnia, długość, odcień.

Nie może być co do tego najmniejszych wątpliwości.

Cariana przeszedł na Tamten Świat.

Przedstawił Ludziom Snów sytuację swego przyjaciela, a oni postanowili mu pomóc.

Dali mu odpowiedź.

Ale co ona oznacza?

Locan ostrożnie posuwał się ku kamieniowi.

Był to czysto biały kwarc, wielkości i kształtu końskiego łba.

Nieśmiało dotknął go drżącą ręką.

Powierzchnię miał gładką i chłodną.

Głaskał ją z narastającym podnieceniem.

Chwycił białą skałkę obiema rękami i po ciągnął.

Odskoczył do tyłu.

Ku jego zdumieniu, kamień wysunął się do przodu o parę centymetrów.

Ręce trzęsły mu się jak w konwulsjach.

Wiedział teraz, że odpowiedź kryje się za kamieniem.

Znowu go pochwycił.

Kamień wyslizgnął mu się, tak jak poprzednio, a potem pozostał w jego rękach, zbyt ciężki, by go utrzymać, toteż Locan schylił się i położył go na piaszczystym przesmyku.

Człowiekowi nie jest łatwo stanąć twarzą w twarz z bogiem, toteż Indianin po woli wyprostował się i z lękiem zajrzał w głęboką, ciemną dziuplę w czerwonej skale.

Była pusta.

Jeszcze bardziej zdumiony, przyjrzał się leżącemu u jego stóp po łyskliwemu kamieniowi.

Był piękny.

Nie znać na nim było najmniejszej skazy.

Gdy się weń wpatrywał, usłyszał znajomy dźwięk.

Aż podskoczył, kiedy spojrzał w górę.

Z zagłębienia w skale wypływała woda, rozpryskując się, jakby wylewano ją z wielkiej tykwy.

Zanurzając ręce w przejrzystym płynie, pociągnął długi łyk.

Napój był cudownie czysty i musujący.

Wtem, równie szybko, jak się pojawił, zniknął.

Locan stał, oszołomiony.

Przyszedł po znak.

Była nim woda.

Ale jak ma to rozumieć?

Woda jest cenna w tym kraju.  
Woda to życie.  
Woda oznacza nowe narodziny.  
Czy o to chodziło?  
Czy w wyniku swych cierpień narodzi się na nowo, zwycięski?  
Czy też rzecz jest dużo prostsza?  
Może po prostu woda sprzyja mu?  
Nie ulega wątpliwości, że czarnym szatom i białemu wojownikowi woda już prawie się skończyła - że są wykończeni.

Locan nadal jednak nie był pewien, co kryje się za tym znakiem.  
Wiedział tylko, że Ludzie Snów pobłogosławili go, przesyłając sygnał.  
To potężny urok.  
Powróci do Kadeta i opowie mu o nim.

I po zwoli wodzie zniszczyć czarownice w czarnych szatach i mężczyznę.

- PANIE SWANSON, doceniam pańską odwagę - stwierdziła siostra Agnieszka, gdy już znowu mogła mówić.

- Ale nie ma powodu męczyć dzieci bardziej, niż to konieczne.

Większość jest już o krok od śmierci.

Stąd odejdą cicho i w pokoju.

Tam - wskazała teren rozciągający się poza wozami - czeka je ból i strach.

Swanson słuchał starej kobiety tylko półuchem.

Oczami przebiegał cały wąwóz.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Niech je pani przygotowuje.

Tylko czworo dzieci mogło stać samodzielnie i z nich właśnie utworzono chwiejną linię, ustawioną wzdłuż pasma górskiego.

Siostry Marta i Elżbieta rozcierały im nogi i usiłowały dodać otuchy.

Kilkoro dzieci pochłipywało, lecz większość milczała, oszołomiona.

- Mają panie więcej tych czarnych ubrań?

Siostra Agnieszka z osłupieniem spojrzała w twarz Swansona, poczym spojrzała na dzieci.

- Nasze dodatkowe habity są w torbie podróźnej.

GDY SWANSON był już gotów, odsunął się i z zadowoleniem spojrzał na dzieci.

Każde ubrane było w czarne sukno.

Jeżeli będą się trzymały głębszych cieni w wąwozie, dzięki osłonie materiału trudno będzie je wytropić - to znaczy, jeżeli nie wejdą wprost na Apacza.

Swansonowi kręciło się w głowie.

Za dużo było tych "jeżeli".

Jeżeli dzieci nie będą płakały, jeżeli znajdzie konie, zanim Apacze znajdą jego, jeżeli sadzawka napełniła się, jeżeli...

Przestał rozmyślać i zabrał się do roboty.

Odwrócił się i podszedł do starej zakonnicy.

- Niebawem będzie najciemniejsza część nocy.

Musimy przeprowadzić dzieci, zanim księżyc oświecili szczyt wąwozu.

- Panie Swanson, uważa pan, że jest to winien dzieciom, ale źle pan robi, narażając je na takie przejścia.

Umrą przerażone.

- Winien to jestem sobie, proszę pani.

Podszedł do wozów, wyciągnął lunetę i uważnie obejrzał drogę.

Siostra Agnieszka podążała za nim znużona.

Swanson podniósł hawkena i wręczył jej broń.

- Nikogo nie zastrzelę uprzedziła stanowczo.

- Nigdy nie brałem tego pod uwagę.

Niech go pani po prostu trzyma.

Zostanie pani tutaj z siostrą Martą i chłopcem, a ja wyprowadzę resztę.

Potem wrócę po was.

Zróbcie we dwie trochę hałasu, rozmawiajcie głośno, może trochę się pokłóćcie, żeby przypatrywali się wozom i podsłuchiwali was.

WZROK LOCANA spoczywał na Jaco, choć przywódca rozmawiał ze starym szamanem, Kadetem.

Twarz Jaca była gładka i miękka, mały wojownik wyglądał chłopięco, choć miał już trzydziestkę.

Kilka pasm rudych włosów, pochodzących od czarnej szaty, przywiązał sobie ozdobionym koralikami sznurkiem do mokasynów z kozłej skóry.

Jaco obrzucił wielkiego Apacza krótkim spojrzeniem, poczym odwrócił wzrok.

Locan dostrzegł w nim pogardę.

- Nie wiem - rzekł Kadet.

- Bez wątplenia znak przekazali Ludzie Snów.

Lecz tylko ty możesz ustalić, co on oznacza.

Locan był przygnębiony Starzec stroi sobie z niego żarty.

Jaco widział, jak wojownik skręca się ze złości.

- Powiedziałem ci, co to oznacza.

Woda jest sprzymierzeńcem Locana.

Biali umrą bez wody.

Musimy tylko trzymać ich stłoczonych jak kozy w zagrodzie.

To chyba nic trudnego dla wojowników z plemienia Apaczów.

Prawda, Jaco?

Locan wpatrywał się prosto w twarz Jaca.

Wśród Apaczów gapienie się na kogoś stanowiło obrazę.

Niższy mężczyzna opuścił wzrok.

- Przesunąłeś mężczyzn bliżej wozów, jak ci mówiłem?

zapytał Locan.

- Pozwoliłem im się posilić.

Potem ich przesunę - odparł Jaco z ledwo skrywanym brakiem szacunku.

- Opowiedz im o znaku, który widział Locan.

Chcę, żeby obsadzili skały wokół rzeki.

Chowają się na wzgórzach jak małe dzieci.

SWANSON zaprowadził siostrę Elżbietę za wóz i dał jej ostatnią resztkę wody.

Początkowo odmówiła, chcąc napić nią dzieci.

-Jeśli pani nie wypije, nigdy nie dotrze na szczyt wąwozu z dzieckiem na plecach.

Jeżeli pani się nie uda, to dziecku tymbardziej.

Siostra Elżbieta wypiła.

Swanson, wyczerpując wszystkie siły, napiął kuszę zdrowym ramieniem, podczas gdy trzy siostry ukłękły do modlitwy.

Potem podsadził lżejszą z małych dziewczynek, Bonnie, na plecy siostry Elżbiety.

Następnie podrzucił drugą, Annę, o oczach rozszerzonych ze strachu, na własny grzbiet.

Słyszał, jak wali jej serce.

- Anno - wyszeptał.

- Zabieram cię teraz do domu.

Dziecko mocno ścisnęło go za szyję.

Odwrócił się i spojrzał na siostrę Agnieszkę.

- Naróbcie hałasu, ale nie aż takiego, żeby przyszli sprawdzić, co się dzieje.  
Niech po prostu podsłuchują.  
Skinęła głową.  
Siostra Marta stała obok niej, patrząc ze smutkiem na rząddek dzieci.  
- Idźcie z Bogiem rzekła siostra Agnieszka.  
Swanson zerknął na nią.  
- Niech pan uwierzy choć trochę, panie Swanson.  
Mimo zmęczenia w oczach starej zakonnicy gdzieś głęboko błysnęła iskierka.  
Kiwnął głową i ruszył wzdłuż wozu.  
Za nim szła dziewczyna w ciąży, Millie, potem Jessica, dalej bliźniaczki, Betty i Nari.  
Siostra Elżbieta, z Bonnie na plecach, zamykała pochód.  
Poruszała się niepewnie.  
Swanson zatrzymał się, poczym wrócił do niej.  
- Siostro, musi siostra dotrzymać nam kroku.  
Wyjdziemy stąd jak jedno zwierzę - to jedyna szansa.  
- Zobaczył, że drży.  
- Boi się siostra?  
- Powinam powiedzieć, że nie, prawda?  
- Potrząsnęła głową.  
Zanim Swanson opuścił ogrodzony teren, obejrzał się i rzucił okiem na chłopca.  
Siedział w miejscu, którego nie opuszczał przez cały dzień.  
Patrzył prosto przed siebie, jakby nic się nie działo.  
Gdy siostra Elżbieta wyjaśniła dzieciom, że to gra w chińskiego smoka, w której każdy ma się trzymać osoby stojącej z przodu i robić dokładnie to, co i ona, wykonywały to idealnie.  
Swanson przeszedł z nimi prawie w kucki parę metrów do wielkiego głazu.  
Następne sto metrów będzie najbardziej niebezpieczne.  
Zobaczy ich każdy Indianin, strzegący wozów, który zerknie w bok, a do tego będą poruszali się po otwartej przestrzeni, mając za sobą tylko jasne skały piaskowca.  
Gdy byli gotowi, Swanson podniósł kamień i cisnął go w kierunku ogrodzenia.  
Natychmiast usłyszał głos siostry Agnieszki, mówiącej coś napastliwym, nieprzyjemnym tonem.  
Ruszył pospiesznie, przykucnięty, nie biegnąc, lecz sunąc żwawo.  
Po przejściu pięćdziesięciu metrów upadł na kolana, by dzieci i siostra Elżbieta złapały trochę oddechu.  
Czuł pulsowanie w ramieniu i nodze.  
Choć tak bardzo chciał jak najszybciej przebyć otwartą przestrzeń, wiedział, że jeśli będzie zbyt poganiał dzieci, któreś z nich może zacząć płakać.  
Zaczekał.  
Po chwili znowu szli naprzód i niebawem minęli ostatni odcinek otwartej drogi.  
W pustynnej ciszy ciężkie sapanie dzieci niosło się tak rozgłośnie, że Swanson w każdym momencie spodziewał się ataku Indian.  
Po zwolił maluchom odpocząć na początku nieznacznego śladu, który wiódł do łożyska strumienia.  
Stąd schodzili zboczem wzgórza, przez rzeczne skały.  
Niespodziewanie kamień stoczył się im pod nogi, a Swanson zatrzymał ich i kazał przylgnąć do głazów, przez co wyglądali niczym wielkie czarne bryły błota.  
Jednakże żaden z Indian nie pojawił się, by zobaczyć, co się stało, toteż spieszyli po stromym szlaku, który piął się ku krawędzi wąwozu.

Gdy weszli już parę metrów w gęste zarośla, Swanson znowu po zwolił im na chwilę odpoczynku.

Zeszli kilka kroków ze szlaku i cicho usiedli.

Swanson przykucnął wśród krzewów, obserwując szlak.

Minęło ich trzech Indian, nie dojrzawszy nikogo.

Swansonowi serce waliło jak młotem.

Zatrzymywali się co kilka metrów w ciemności, by dzieci mogły odpocząć, toteż po ponad godzinie drogi znaleźli się w połowie górskiego zbocza.

Odpoczywali zszedłszy ze szlaku, podczas gdy Swanson, obejmując Annę ramieniem, przyglądał się małemu, piaszczystemu mostkowi, gdzie szlak przecinał podmyty teren.

Zmartwił go ten widok.

Szlak pokrywał bielutki piasek, nieporośnięty żadnymi krzewami, w których mogliby się skryć.

Odszedł od dzieci i nasłuchiwał.

Wpatrywał się w krzaki po drugiej stronie.

Pięćdziesiąt metrów na lewo znajdowały się duże głazy.

Przypatrzył się im dokładnie.

Nic.

Delikatnie postawił Annę na ziemi.

Dziecko pociało się i wyglądało na wymęczone.

Usiłowało się położyć.

Siostra Elżbieta trzymała małą za rękę, nie pozwalając jej zasnąć.

- Pójdę pierwszy - wyszeptał.

- Jeżeli coś zajdzie, wystrzelę z rewolweru i odciągnę ich na brzeg.

Pójdą za mną.

Niech siostra zejdzie z dziećmi ze szlaku na prawo i wespnie się przez zarośla na szczyt.

To będzie dłużej trwało, ale dacie sobie radę.

- A pan?

- Ukryję się na krawędzi.

Znajdę was.

- Wiedział, że to kłamstwo.

Swanson przeszedł przez wąski przesmyk piasku bez najmniejszych kłopotów.

Usadowiwszy się obok wielkiej skały, machnął na resztę, by przechodziły przez mostek.

Pierwsza przeszła Millie, potem bliźniaczki.

Następnie Jessica.

Był cały spięty, gdy tak maszerowały, gdyż każdy ich ruch był wyraźnie widoczny.

Siostra Elżbieta ruszyła przez most, prowadząc Bonnie i Annę za ręce.

Swanson zobaczył, że mała Anna potknęła się o duży kamień na skraju stromego wzniesienia.

Zakonnica podciągnęła dziecko do góry, gdy tymczasem kamień stoczył się z brzegu i roztrzaskał z hłasem na dnie.

Siostra Elżbieta przygarnęła obie dziewczynki do siebie, po chylona nad nimi bez ruchu na odsłoniętym odcinku mostu.

Swanson usłyszał głośnie kliknięcie metalu i zorientował się, że gdzieś obok odbezpieczono muszkiet.

Zawiesił kuszę na ramieniu i uważnie przepatrywał krzaki.

Apacz z muszkietem w rękę stał na szczycie największego głazu, przeszukując wzrokiem rozciągające się pod nim zarośla i szlak.

Swanson już unosił swą kuszę, by wystrzelić, kiedy ujrzał jeszcze dwóch wojowników, wyłaniających się na tle nocnego nieba.

Swanson obejrzał się na zakonnice.

Zastygła na szlaku niczym kula, ale za parę sekund ktoś ją zauważy.

Potem usłyszał głośne prychnięcie górskiego jelenia.

Poszukał wzrokiem zwierzęcia, lecz nie mógł go odnaleźć.

Obserwując siostrę Elżbietę znowu posłyszał jelenia i ze zdumieniem uświadomił sobie, że ten prychający dźwięk wydaje właśnie siostra.

Jeden z Indian roześmiał się i powiedział coś, poczym cała trójka zniknęła.

Siostra Elżbieta natychmiast podniosła się, prowadząc za sobą dzieci i wszystkie razem pobiegly przez most ku Swansonowi.

- Niewiele brakowało - rzekła.

Swanson siedział, patrząc na wyraziste rysy jej twarzy, obramowane bielą welonu.

- Gdzie się siostra tego nauczyła?

- zapytał z podziwem.

- Wychowałam się na farmie w Minnesocie.

Przypuszczałam, że tutejsze jelenie o białych ogonach muszą wydawać podobne dźwięki, co tamte.

Jeszcze przez chwilę przypatrywał się jej ładnej twarzy, poczym odwrócił wzrok.

Te kobiety stanowiły dla niego zagadkę.

Za każdym razem, gdy już mu się wydawało, że je zrozumiał, robiły coś zadziwiającego i czuł się tak samo zakłopotany, jak na początku.

Zwykle nie miał takiego stosunku do kobiet.

Zawsze się za nim uganiały, a on je rozumiał.

Wiedział, czego potrzebują i pragną.

Lecz tych trzech kobiet nawet nie próbował rozszyfrować.

SWANSON ledwo trzymał się na nogach, w gardle mu wyschło.

Wolał nie myśleć, jak czują się dzieci.

Ukrył je wraz z siostrą Elżbietą w skałach na skraju wąwozu, a sam poszedł naprzód, poszukać koni Apaczów.

W sadzawce nagromadziło się dość mętnej wody, by napełnić manierki i bukłak z jeleniej skóry, które ukrył w pobliskich krzakach.

Nie wypił nawet łyka.

Nie mógł pozwolić, by nagle chwyciły go skurcze.

Stanął w krzewach, przykrywających go po czubek głowy i nasłuchiwał odgłosów stada z zagrody w kanionie.

Z tego, co widział ostatnim razem, musi być już blisko.

Wreszcie, o parę kroków dalej, w ciemności usłyszał parsknięcie konia.

Swanson z wolna opuścił się na kolana i wysunął zdrowe ramię.

Skrecając się z bólu wypełznął z zarośli, wczołgał się na odsłoniętą skałę i znalazł się wśród koni.

Jedno zwierzę prychnęło nań i odskoczyło.

Swanson zatrzymał się, by przywykły do jego obecności.

Powoli wysunął rękę ku koniowi, a zwierzę lekliwie wyciągnęło nos, poczym spłoszyło się.

Swanson poczuł napięcie.

Coś jest nie tak.

Odnosił wrażenie że zwierzęta poruszają się falami, co nie jest normalne dla stada na pastwisku.

Potem ujrzał Apacza.

Stał wśród koni, kilka metrów od Swansona, który w ciemności niewyraźnie widział nogi Indianina pod brzuchami zwierząt.

Patrząc jak mężczyzna obraca się w miejscu Swanson domyślił się, że szuka przyczyny zaniepokojenia zwierząt.

Po cichu zaczął się więc wysuwać.

Potem ujrzał mokasyny drugiego Apacza, który stał nad nim na skałach, na skraju krzewów. Za łatwią go we dwóch.

Ma rewolwer, lecz jeśli go użyje, kto wie, czy nie usłyszą go inni Apacze, mogący być w pobliżu.

Swanson wycofał się z powrotem w kierunku skały, trzymając się szyi małego, gniadego konia.

Pełzną pod zwierzęciem, kierował je ku skale.

Pot zaczął spływać mu po plecach.

Zwalniając krok konia, obrócił się, by sprawdzić, gdzie dokładnie znajduje się Indianin.

Apacz wyraźnie przepychał się ku niemu.

Popchnął gniadego bliżej skał.

Noc była spokojna, on zaś pragnął, by wiatr choć trochę poruszył stado, ale powietrze nawet nie drgnęło.

Dwa konie stały między nim a występem skalnym.

W ciemności ledwo rozróżniał wąską półkę w skale.

Jeden z Indian odezwał się, a Swanson, korzystając z hałasu, jaki tworzyły jego słowa, przeczołgał się pod końskimi brzuchami.

Jakaś przestraszona kobyła kopnęła w jego kierunku, lecz zdążył już wyciągnąć się na półce.

Indianin, czuwający nad stadem, zbliżał się coraz bardziej.

Swanson wciągnął oddech i z całej siły wcisnął się w kamienie.

Czuł, że skała ustępuje, a po chwili zorientował się, że coś pełza mu po plecach.

Potworne doznanie rozprzestrzeniło się we wszystkich kierunkach - wzdłuż nóg, do szyi.

Ogarnęło go przemożne pragnienie, by stoczyć się ze skały, lecz akurat wtedy przed samym nosem ujrzał stopę Apacza.

Swanson wiedział, co się wydarzyło i od tego drgnęły mu wszystkie mięśnie - złamał skalną pokrywę gniazda jadowitych stonóg i przynajmniej pięć z nich wpełzło na niego.

Dostał gęziej skórki.

Jeden z robaków dotarł już do kołnierzyka koszuli i wsuwał się do środka, ślizgając mu się po plecach.

Inny wkręcił się pod nogawkę spodni i wdrapywał się po udzie.

Mało nie wrzasnął, gdy kleszcze robaka, pełzającego mu po plecach, wbiły się w ciało.

Wstrząsnął nim ból i wstrzyknięta dawka trucizny.

Przez sekundę nie mógł oddychać.

Apacze rozmawiali teraz cicho.

Swanson zmusił się, by skupić spojrzenie na krzepkich, stojących przed nim nogach.

Zorientował się, że biegające po nim robaki mają z dziesięć centymetrów długości.

Kiedy nagle jeden z nich ukąsił go w nogę, zagryzł wargę, aż zaczęła krwawić.

Łzy strumieniem płynęły mu z oczu.

Został ukąszony jeszcze dwukrotnie, nim Indianie odsunęli się.

Odczekał, aż usłyszał, że rozmawiają na wzniesieniu naprzeciwko stada.

Powoli ześlizgnął się z półki.

Kiedy się rozebrał i wytrząsał stonogi z ubrania zobaczył, że ukąszone miejsca spuchły.

Nie umrze od tego, ale pocierpi ze dwa dni.

Dwaj młodzi Apacze siedzieli tuż przy ogniu.

Swanson widział, jak płomienie falują na ścianach stromego urwiska, opadającego wprost za nimi.

Pilnowanie stada to nudne zajęcie, które powierzano młodszym, mniej doświadczonym wojownikom.

A tym dwóm niewątpliwie brakowało doświadczenia.



Siedząc blisko przy ogniu, byli ślepi na wszystkie nocne zjawiska, strzegli stada tylko uszami. To zamało jak na Nata Swansona.

Odczekał, aż ból po ukąszeniach trochę zelżeje, poczym w największej ciszy jął rozluźniać żerdzie ze skarłowaciałego dębu, zamykające otwór zagrody.

Jeden po drugim wypuścił dwa indiańskie kucyki oraz dwa muły i popędził je na dół długim prętem.

Gdy doszedł do wniosku, że znajduje się już w bezpiecznej odległości, lassem z bykowca obwiązał pysk kucyka, po czym, prowadząc trzy pozostałe zwierzęta, wsiadł nań i podjechał do sadzawki i trzeciego wozu.

Muły były dobrze wytresowane, przywykłe do wędzidla.

Przypuszczał, że Indianie używali ich do transportu.

Konie wydawały się pół dzikie, toteż najpierw szepił je razem, a muły wysunął na czoło.

Wszystkie cztery zwierzęta miały chude żebra, lecz były dość wytrzymałe, by dociągnąć do najbliższego fortu.

Oczywiście, jeśli będzie im dany czas na wypełnienie tego zadania.

SWANSON zostawił siostrze Elżbiecie manierkę wody, by napoiła dzieci.

Sam usiadł parę metrów dalej, obserwując główny szlak na skraju wąwozu.

Zsunął wóz ze szlaku, lecz wiedział, że łatwo go można odnaleźć.

Na horyzoncie ujrzał ledwo dostrzegalną smużkę światła.

Niebawem wstanie księżyc.

Co oznacza, że zostało mu jakieś dwadzieścia minut, by zabrać dwie pozostałe zakonnice i chłopca.

Pięć minut później na tyle wozu przekazywał dzieci do rąk siostry Elżbiety.

Serce waliło mu w piersiach.

Naliczył tylko pięcioro.

Jednego brakowało - Anny.

Spojrzał na zakonnice i zaczął mówić, lecz ona zajrzała mu w oczy i potrząsnęła głową.

Wyszli i stanęli koło mułów.

- Gdzie ona jest?

- Złączyła się z Bogiem.

- Co takiego?

Siostra Elżbieta patrzyła mu w twarz i skinęła z wolna.

- Zrobił pan, co mógł.

Umarła spokojnie.

Bardzo mi przykro.

- Pochowała ją siostra?

- Nie miałam jak.

Odmówiłam nad nią modlitwę.

Spoczywa w pokoju.

Swanson spojrzął w ciemność, przypominając sobie małą dziewczynkę, która przyniosła mu kwiaty.

Poczuł, że coś ścisną go w piersi.

- Ludzi trzeba tu grzebać - powiedział jakby do siebie.

- Inaczej zabiorą ich czyściciele.

GDY wczuł się za ogrodzenie, pierwszy zobaczył go chłopiec.

Swanson skinął nań.

Obie zakonnice spały, oparte o skały.

Najpierw malec wypił łyk wody, potem Swanson pociągnął z manierki, a na stopniu przesunął się, by obudzić starą zakonnice.

- Udało się panu - wyszeptła chrapliwie.

- Co z dziećmi, czy są bezpieczne?

Patrzył, jak pije z bukłaka, poczym odkłada go.

- Anna nie żyje.

Reszta czeka na was w wozie.

Stara zakonnica szeptem odmówiła modlitwę.

Obudził siostrę Martę i dał jej trochę wody.

Potem podszedł do chłopca, opuścił się na kolana i rozkazał:

- Pełnij do góry.

Chłopiec usłuchał.

Wdrapali się na szczyt wąwozu akurat, kiedy księżyc pokazał się nad kamienną palisadą.

Swanson jeszcze raz podziwiał szczęście starej zakonnicy.

Popędzili razem po krawędzi niczym trzy czarne zjawy.

Wkrótce dotarli do wozu i siostry przytuliły do siebie dzieci.

Swanson pomógł siostrze Marcie wejść na ławeczkę z tyłu wozu, a pozostałym siostronom na przednie siedzenie.

Siostrze Elżbiecie wręczył cugle.

Ustawił muły w półkole, by łatwo dały się poprowadzić szlakiem, poczym zatrzymał je i podszedł do wozu.

- Nie martwcie się, że zwierzęta będą zmęczone.

Szlak, wychodzący z gór, prowadzi cały czas w dół.

Wiecie, jak używać hamulca wozu, prawda?

Siostra Elżbieta przytaknęła.

Siostra Agnieszka patrzyła prosto przed siebie, z ustami zaciśniętymi w sztywnym uśmiechu, który wcale nie był uśmiechem.

-Jakieś dziesięć mil w kierunku pustyni znajduje się duży zbiornik wodny.

Powinnyście tam dotrzeć nad ranem.

Na pewno go znajdziecie.

Zwierzęta same was tam zaprowadzą.

- Uniósł wzrok ku siostrze Elżbiecie i uśmiechnął się.

- Na pewno potrafi siostra prowadzić taką landarę?

Znowu skinęła twierdząco.

Stara zakonnica nagle odwróciła się ku niemu i po raz pierwszy, odkąd ją poznał, wyglądała na prawdziwie zagniewaną.

- A więc to tak.

W ten sposób chce pan wyprowadzić dzieci, żeby Apacze nas nie złapali.

Poświęca się pan.

- Spojrzała mu twardo w oczy.

- Dlaczego mnie pan nie zapytał?

- Pośpiewam im do rana.

Mój talent ich wykończy.

Potem się wyślizgnę.

Żadna sztuka.

Da to wam ośmiogodzinną przewagę.

Nie będą nawet próbowali was złapać.

- Powinien pan mnie zapytać - powtórzyła, odwracając się.

Swanson zobaczył, że po policzkach siostry Elżbiety cieką łzy.

- Niech pana Bóg prowadzi - powiedziała.

Skinął głową i przeszedł obok wozu, unosząc dłoń i głaszcząc chłopca po głowie.

Wóz ruszył szlakiem.

Siostra Marta i dzieci od prowadziły go wzrokiem - wszystkie, z wyjątkiem chłopca.  
Siostra Elżbieta obejrzała się za nim przez ramię.

Stara zakonnica nie po ruszyła się.

SWANSON znalazł ciało Anny na piaskowym wzgórzu, gdzie wcześniej zostawił  
dzieci z siostrą.

Małe rączki miała złożone razem.

Sprawiała wrażenie tak żywej, że chciał delikatnie nią potrząsnąć, by się obudziła.

Zdrową ręką wygrzebał jej grób w piasku, poczym wstał i odszedł w ciemność.

Kiedy wrócił, ukląkł i wsunął jej w ręce pęk pustynnego bzu.

- Przykro mi - powiedział.

W chwilę później wyprostował się i spojrzał w niebo.

Ścisnęło go w gardle i starał się to opanować.

- Psie.

Zostań z nią.

Zasypał grób piaskiem i kamieniami, poczym powoli odszedł.

Musi spróbować uratować resztę.

Gdy kroczył z trudem wzdłuż krawędzi wąwozu, w głowie zaległa mu się mglista, dręcząca  
myśl.

Jeżeli mu się nie uda -jeśli umrze i Apacze przechwycą wóz - będzie wyglądało, jakby nic się  
tu nie stało.

Ale to niemożliwe.

On tu był.

On i stara zakonnica, pozostałe siostry i dzieci też tu były.

Walczyli tu, śmiali się i płakali.

Tu umarli pies i Anna.

Ale to nic nie znaczy.

Nie będzie śladu po ich spotkaniu prócz zimnych, metalowych pamiątek, rdzewiejących w  
piasku.

Potem, oszołomiony, przeszedł szlakiem wzdłuż wąwozu, zaskakując wojownika,  
stojącego w cieniu, nieopodal koryta rzeki.

Indianin strzelił z łuku na postrach, poczym wziął nogi za pas.

Bali się go.

Nie wiedział, dlaczego i niewiele go to obchodziło.

Usiadł gwałtownie na piasku w obrębie ogrodzenia.

Natychmiast dopadło go zmęczenie i ból ran, do tego stopnia, że na parę minut stracił  
przytomność.

Kiedy się ocknął, zmusił się, by wstać i przejść do wozów.

Wyjął łopatę ze skrzyni na narzędzia i kilkakrotnie uderzył nią w koło.

Potem wypił trochę wody z bukłaka i wyciągnął się, oparty o skały.

Choć pajęczyna bólu oplatała mu całe ciało, poczuł się znacznie lepiej.

Może nawet najlepiej od długiego czasu.

Zastanawiał się, czemu to przypisać.

Został przecież ukąszony, postrzelony, ramię elegancko złamano mu na dwoje, omal nie  
umarł z pragnienia, twarz miał spieczoną jak kotlet z bawołu a mimo wszystko czuł się  
dobrze.

Roześmiał się głośno i spojrzał na zegarek kieszonkowy.

Kobiety znajdowały się na szlaku już od godziny.

Jeszcze dwie i dojadą do połowy góry.

Po upływie trzech następnych opuszczą pustynię i będą prawie bezpieczne.

Za kolejne dwie godziny natrafią na zbiornik wodny, czyli ujadą już dobrych sześćdziesiąt kilometrów.

Rano, kiedy Apacze znajdą ślady wozu, stracą zapal i nie będzie im się chciało marnować czasu na ściganie zakonnic i dzieci.

Wiedzieli przecież, że ktoś jeszcze siedzi uwięziony w wozach.

Znowu wyjął łopatę i zabębnił o koło.

Pobiegł myślami ku starej zakonnicy.

Pewnie śpiewa teraz tym zabłąkanym dzieciom niczym górski kanarek.

Napewno przemogła już gniew.

Przyjemnie mu było sądzić, że wiekowa siostra już się nie złości.

Cieszył się, że jest bezpieczna, daleko stąd.

W końcu, to głównie z jej powodu zszedł do tego miejsca.

Poczuł się zmęczony, więc przysunął się do skały i usiadł, przyciągając do siebie hawkena i kładąc sobie rewolwer na kolanach

## Rozdział 9

GDY SWANSON obudził się, nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Na pewno mu się to śni.

Ale uporczywe bóle w całym ciele dowodziły, że jest w pełni przytomny.

Na piasku przed nim siedziała siostra Agnieszka, uśmiechając się tym swoim uśmiechem, który odsłaniał dwa przednie zęby.

Przez parę pierwszych sekund był zbyt zdumiony, aby cokolwiek powiedzieć.

- Co siostra tutaj robi?

Czy Elżbieta straciła panowanie nad wszystkimi?

- Niech się pan niczym nie przejmuje - odparła stara zakonnica.

- Radzimy sobie doskonale.

- Więc skąd się tu siostra wzięła?

- Bo nigdy przedtem nie spotkałam istoty zesłanej przez Boga.

- Skończmy z tymi żartami.

Ryzykuje...

- Nie żartuję - przerwała kobieta.

- Mówię zupełnie poważnie.

Bóg pana zesłał, by uratował pan dzieci.

- Nikt mnie nie zesłał.

Może siostra mówić, że uratowałam dzieci, ale tylko tyle.

- O nie - rzekła, potrząsając głową.

- Modliłam się o przysłanie pana - albo kogoś podobnego - i tego samego dnia pojawił się pan.

- Kwestia przypadku.

- To nie był przypadek.

Ilu mężczyzn spojrzawszy na to, co dzieje się w wąwozie, zorientowałyby się, że czekamy na śmierć i dobrowolnie zjechałyby do nas?

Bardzo niewiele, panie Swanson.

A z tych, którzy mieliby odwagę, by się poświęcić, ilu zaplątałyby się w to odludne miejsce tego samego dnia, gdy tak rozpaczliwie ich potrzebowałam?

Nie, to nie przypadek, panie Swanson.

Bóg pana zesłał.

Musi pan to zrozumieć.

Kiedy się odezwał, uczucie ulgi, które wypełniało go przedtem, raptem zniknęło.

- Dlaczego to ma dla siostry takie znaczenie?

- Bo to najważniejsza rzecz, jaka kiedykolwiek zdarzy się w pańskim życiu.

Tak samo jak w moim.

- Stała teraz nad nim.

- Panie Swanson, dotknął pana palec Boży.

Nie może pan umrzeć tutaj samotnie.

Pociągnął łyk wody z bukłaka.

-Jeśli Bogu chciało się wysłać mnie tutaj, bym ratował dzieci

- co zrobiłem - to chyba nie pozwoli mi tu umrzeć.

Nie wyglądałby mi na bardzo sprawiedliwego Boga.

- Nie nam sądzić wyroki Pańskie.

- O nie.

Nie wykręci się siostra z tego tak łatwo.

Powiada mi siostra, że skoro spałam swoje życie do tego stopnia, by zrobić to, co Bóg mi każe, teraz mam tu umrzeć?

I myśli siostra, że skoro tu zesłała, by ze mną umrzeć, to już wszystko jest w porządku - rachunki się wyrównały, tak?

Czy też Bóg zesłał siostrę, by ze mną umarła?

- Nie wiem.

- Doprawdy?

Taka była siostra pewna, że zostałem tu posłany, to dlaczego siostra nie wie, czy sama została posłana?

- Bo to nie działa w ten sposób, panie Swanson.

Niech mi pan uwierzy.

- Dlaczego mam wierzyć komuś, kto nie jest niczego pewny?

- Nie wiem.

Może nie powinien pan.

Odsunęła się teraz od niego o parę kroków i usadowiła na piasku, nie patrząc na Swansona.

- Chciałabym, żeby wiedział pan o czymś jeszcze - rzekła cicho.

- Uratował pan moją wiarę.

Wpatrywał się w oddzielający ich kawałek gruntu.

- A dlaczego ją siostra utraciła?

- Tak naprawdę, nie wiem.

Po prostu jakoś wygasła.

Przyjechałam, żeby zabrać dzieci, bo zawsze je kochałam, a nie dlatego, że prowadziła mnie wielka wiara.

Po powrocie miałam zamiar wystąpić z zakonu.

A kiedy zrozumiałam, że sama nie zdołam uratować dzieci, zrobiłam jedyną rzecz, jaką umiałam - modliłam się do Boga o pomoc.

Zesłał mi pana.

Wtedy na nowo przekonałam się, że On istnieje.

Że wszystko działa jak należy pod Jego niebem.

- Znowu się uśmiechnęła.

- Zapewniam pana, że to cudowne przeżycie.

Tak bardzo bym chciała, żeby i pan je odczuwał.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Skoro wszystko pod niebem działa jak należy, to może w sumie nie jest tak źle.

Przez długi czas milczeli.

Swanson siedział oparty o skałę, trzymając pod ręką hawkena.

Stara zakonnica naprawiała dziurę w habicie.

Co kilka minut unosiła wzrok ku mężczyźnie i uśmiechała się.

Nie odwzajemniał jej uśmiechów.

Usiłował uporać się z problemem, który sprawiła swoim powrotem.

Bez niej spróbowałby zaryzykować.

Mógłby nawet obejść Apaczów i wydostać się stąd, choć nie bardzo w to wierzył.

Ale teraz musi zaopiekować się nią.

Uświadomił sobie, że zajmuje się innymi tylko wówczas, gdy grozi im śmierć.

Siostra Agnieszka wzięła swą torbę podróżną i usiadła obok niego.

- Gra pan w karty, panie Swanson?

Pytanie to zdumiało go.

Patrzył, jak przeszukuje zawartość torby.

- Owszem.

- To dobrze.

Wyprostowała się, wyciągając zniszczoną talię kart i jedną trzecią butelki whisky.

- W takim razie ja też zagram.

Swanson patrzył, jak tasuje, potem rozdaje.  
Jej ręce poruszały się z wprawą, świadczącą o długiej praktyce.

- Nieraz już pani grała - rzekł z uśmiechem.
- Trzy razy w tygodniu na probostwie.
- Popijając szkocką?
- Głównie wino.

A co, uważa pan, że to grzech wypić szklaneczkę?

- Skądże znowu!
- Ja też tak myślę.

Niech pan dołoży do ognia, żebyśmy lepiej widzieli karty.

Swanson dorzucił drewno, poczym wziął broń, pokuśtykał do wozów i wpatrzył się w ciemność.

Wydawało mu się, że Indianie są w pobliżu, ale nie próbują żadnych sztuczek.

To dziwne.

Nim się odwrócił, miał wrażenie, że coś porusza się daleko na drodze, ale nie był pewien.

Może to szop.

Żaden Apacz nie wyjdzie na światło podczas księżycowej nocy.

Zwłaszcza jeśli wie, że w okolicy znajduje się mężczyzna z hawkenem.

- Panie Swanson, czeka pan?

Spojrzał na zakonnice, a potem znowu na drogę.

Cień zniknął.

Przez ułamek sekundy miał uczucie, że tej nocy zdarzy się jeszcze coś równie zaskakującego.

Grali w pokera.

Pięć kart, siedem kart, przebitka w ciemno, dobieranie.

Grali w brykającego konia, grę, którą znał.

Grali w spacer wdowy, jej grę.

Nawlecz igłę.

Trudne wyrazy.

Grali o czerwoną fasolę.

Dyskutowali.

Śmiali się.

Znudził im się poker, więc nauczyła go gry we "wszystko albo nic".

A gdy wysączyli już ostatnią kropelkę whisky, zakonnica miała wszystkie fasolki.

Ostatnie wygrała po jego ryzykanckiej zagrywce.

Oparł się na zrolowanym kocu.

- Chyba wygrała siostra sprawiedliwie.
- Wiem o tym - uśmiechnęła się i odłożyła karty.
- W takim razie mogę zatrzymać ranczo.
- Absolutnie.

Przez parę minut oboje siedzieli w milczeniu.

Spoglądała w kierunku wozu, on zaś wpatrywał się w gwiazdy na niebie.

- Przypomina mi siostra moją matkę.

Chociaż tak naprawdę jej nie znałem.

Byłem zbyt młody.

Może chodzi o to, że chciałbym, żeby siostra mi ją przypominała.

Czy to ma sens?

- Tak.

Jestem dumna, że ją panu przypominam.

- Zastanawiam się czasami, jak wyglądała.

- To nietrudno sobie wyobrazić.  
Swanson wpatrzył się w twarz starej kobiety.  
- Jak to?  
- Po prostu.

Wiemy, że miała piękne, czarne włosy.  
Gęste i kręcone.

- Skąd siostra może wiedzieć takie rzeczy?  
- Włosy syn dziedziczy po matce, panie Swanson.

Niech mi pan wierzy, że miała właśnie takie.

A do tego jasną skórę, drobne rysy, piękne.

Pewnie byliście podobnej budowy.

Swanson znowu wpatrzył się w gwiazdy.

- Czy była wysoka?

- O tak, to kobieta słusznego wzrostu i niezwykle wdzięcznej postaci.

Lecz jej prawdziwe piękno płynęło z charakteru.

Była cicha i łagodna.

Ale umiała się postawić, jeżeli tego wymagała sytuacja.

Lubiła się śmiać i lubiła ludzi.

Wierzyła w nich.

Łzy popłynęły mu po policzkach.

Zamknął oczy.

Wstała, wzięła swą torbę podróżną, spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Wie pan co, panie Swanson?

Pańska matka najbardziej na świecie kochała swoje dzieci.

Nadal kocha pana z całego serca.

O tym mogę pana zapewnić.

Żadna matka nie przestaje kochać dziecka tylko dlatego, że umiera.

Miłości tak łatwo się nie zabija.

TEJ NOCY Swanson śnił drugi w swoim życiu sen.

Sen o matce.

Tym razem wiedział, jak wyglądała, jak się poruszała i mówiła.

Były to cudowne chwile.

Kiedy w końcu, niechętnie, obudził się, wewnątrz ogrodzenia czekała go druga niespodzianka.

Chłopiec, Mateusz, siedział na piasku, wpatrując się w wąwóz.

Swanson podszedł doń, usiadł obok i wręczył bukłak z wodą.

- Mat, co się dzieje?

Czy coś się stało?

Prawie niedostrzegalnie chłopiec przecząco pokręcił głową.

Był cały brudny od pełzania przez krzaki.

Swanson siedział, patrząc jak chłopiec pije, i miał wrażenie, że za chodzi w nim dziwna przemiana.

Czuł się tak samo osaczony, jak przedtem.

Tyle że tym razem nie był samotny.

Podszedł do małej kamiennej piramidki i wykopał swoje prawo własności.

Może jeszcze nie wszystko stracone.

A nuż uda mu się jakoś stąd wydostać



## Rozdział 10

DWAJ młodzi Apacze byli przerażeni.

Nie odbijało się to na ich twarzach, ale ogromny strach ich ogarnął i pulsował we krwi.

Czarne szaty i biały wojownik ukradli im konie i muły.

Powiedzieli o tym swemu wodzowi z samego rana, gdy tylko zauważyli stratę, ale on jeszcze się do nich nie odezwał.

Wysłał natomiast innych, by potwierdzili słowa młodych Apaczów.

A teraz wódz i Kadet czekali wraz z nimi przed chatką.

Nikt się nie odzywał.

Staruszek siedział, przesuwając kościste palce po amulecie z paciorków i w milczeniu poruszał ustami.

Locan usiadł naprzeciwko, ostrząc o kamień swój nóż.

Ostrze świeciło jak srebro, a choć nóż miał ponad trzydzieści centymetrów długości, w olbrzymiej dłoni Apacza wydawał się mały.

Miał ostrza po obu stronach.

To nóż do zabijania.

Chrzęst ostrza, pocieranego o kamień, przyprawiał o ciarki młodzieńców.

Locan nie oderwał się od swego zadania, gdy, ciężko dysząc, wbiegli Ponce, Jaco i trzech innych wojowników.

W oczach mieli wyraz troski.

Nikt się nie odezwał, póki stary szaman nie kiwnął na Poncea.

- Wóz przy sadzawce i czworo zwierząt zniknęły.

Ślady prowadzą od ogrodzenia do krawędzi wąwozu.

Załadowali tam wóz i wyjechali głównym szlakiem z gór.

Jechali całą noc.

Muszą być teraz daleko w głębi pustyni, za wodopojem, na głównej drodze do fortu.

Jeżeli teraz zaczniemy ich gonić - spojrział nerwowo najaca i resztę - do ścigniemy ich akurat przy forcie.

Ci, którzy pojechali tym wozem, są bezpieczni.

Ponce obrzucał ich słowami jak błotem.

Nikt się nie odezwał.

Locan nadal szlifował oba ostrza swego noża.

Słychać było tylko ocieranie stali o skałę - śmiertelna pieśń, którą zawodzi narzędzie człowieka zimnemu kamieniowi.

- A więc powiadasz, że biały wojownik i jedna z czarnych szat zostali?

- Kadet mówił spokojnie, powściągając strach i gniew.

Żaden z wojowników nie odpowiedział.

-Jaco, czy to prawda?

Wojownik podskoczył.

Nie chciał się do tego mieszać, nie przerywał Ponceowi ani słowem.

Drżąc, mocniej uchwycił maczugę bojową, by ukryć strach.

Jeżeli czegoś nie dopatrzył, Locan go zabije.

- To prawda, Kadecie.

Negra powiada, że biały wojownik ciągle jest nasz.

Tak samo jak stara czarna szata, najpotężniejsza z nich.

Nadal ich mamy, lecz powinniśmy mieć ich wszystkich.

-Jaco spojrział na dwu chłopców, którzy liczyli sobie najwyżej czternaście wiosen.

- Konie ukradziono nam sprzed nosa.

Mężczyźni, którym wierzyliśmy, zawiedli nasze zaufanie.

Muszą zostać ukarani.

Gdy Jaco umilkł, słychać było tylko oddech chłopców.

Wtedy Locan wybuchnął śmiechem.

Nie zaprzestał ostrzenia noża - po prostu się śmiał.

Wszystkie oczy zwróciły się na niego.

- Powiadasz, że wedle Negry stara została z białym wojownikiem.

- Locan mówił cichym, równym głosem.

- Nie widziałeś jej na własne oczy?

- Nie.

Ufam Negrze.

-Ja też ufam dzielnemu człowiekowi.

To tchórzowi nie wierzę.

Nagle przestał przesuwac ostrzem noża i spojrzał wprost na niższego mężczyznę.

- A ty, Jaco, jesteś tchórzem.

Obwiniasz chłopców za swoje błędy.

Przypominasz skradającego się kojota, który czai się na obrzeżach obozowiska, kradnąc resztki - póki cię psy nie przegonią i nie po każą, kim naprawdę jesteś.

Tchórzem.

Jaco ujrzał, że Locan trzyma nóż za skórzaną rękojeść.

Z wolna skrócił bykowiec, którym owinięta była jego ostra maczuga.

- Powiedziałem ci, żebyś zamknął białego wojownika w zagro dzie jak kozła, aby nie mógł uciec.

Ale nie zrobiłeś tego.

To ciebie należy ukarać.

Nim potężny mężczyzna podniósł się, bojowa maczuga Jaca już wygięła się w złowieszczy łuk.

Jednakże Locan błyskawicznie się uchylił, tak że maczuga ześlizgnęła się z czaszki i z trzaskiem zagłębiła w jego ramieniu.

Jaco odskoczył i chwycił krótką włócznię jednego z wojowników, stojących w powiększającym się zbiegowisku.

Obrócił się i stanął twarzą w twarz z Locanem.

Locan podniósł się już, do połowy złany krwią, ucho zwisało mu na skrawku skóry, a w jego ramieniu nadal tkwiła maczuga.

Chwiał się niepewnie na potężnych nogach.

Jaco poczuł nagły przypływ odwagi.

Z całej siły chwycił oburącz drzewce.

Locan był zbyt oszołomiony, by szybko odskoczyć na bok.

Nie zgrabnie złapał włócznię, pchniętą w kierunku jego żołądka, zmie niając jej śmiercionośny tor.

Mimo wszystko, ostrze wbiło mu się ponad biodrem.

549 .

Gdyjaco usiłował uwolnić włócznię, jaskrawe światło rozbłysło mu w oczach, poczuł lekkie zadrapanie i z początku pomyślał, że Locan zadrasnął go paznokciem.

Zaczął się śmiać.

Potem, gdy z jego piersi zaczęło dobywać się głębokie bulgotanie, uświadomił sobie, że ma podcięte gardło.

Padł na kolana i ugryzł się w język.

Powoli Locan odwrócił się i spojrzał na zebranych wojowników.

Żaden się nie poruszył.

Nie padło ani jedno słowo.

Stanowczym gestem wyszarpnął maczugę z ramienia i obracając się, zatopił ostrze noża głęboko w plecach Jaca.

Mały człowiek zadrzał, poczym znieruchomiał.

Locan chwycił włócznię i usiłował ją wyciągnąć.

- Ponce - wrzasnął - wyjmij mi ją.

Kiedy uwolnił się już od włóczni, stanął ociekający krwią, czekając, aż dojdzie do siebie.

Kadet zbliżył się doń ostrożnie.

- Co powiesz, Kadecie?

- Powiadam, że zabiłeś w obronie własnego życia.

Ale powiadam też, że duchy w tym miejscu są nam przeciwne.

Jesteś dzielny i mądry, Locanie, ale nie potrafisz powstrzymać czarnych szat ani białego wojownika.

Musimy odejść.

- Nie - rzekł Locan, chwiejąc się na nogach.

Zrobił krok, poczym ciężko usiadł.

- Nie.

Nie odejdziemy.

Jutro przed zachodem słońca pójdę do wozów i zniszczę białego człowieka razem z czarną szatą.

Wśród zgromadzonych wojowników rozległ się pełen przerażenia szmer.

Kadet również wyglądał na wystraszonego.

Mówiąc, wpatrywał się w twarz Locana.

- Twoim znakiem była woda.

Ty sam powiedziałeś nam, że biały człowiek zginie z pragnienia.

Że to nie my mamy go zabić.

Locan spojrzał na starca.

-A ty, Kadecie, powiedziałeś, że nie jesteś pewien, czy to prawda.

A zatem nie będę dłużej zwlekał.

Chcę, by wszyscy mężczyźni zeszedli na skały pod wozami.

Jutro ujrzycie, jak podniosę się z łożyska rzeki i zniszczę ich oboje.

RANO Swansonowi tak zeszytywniały wszystkie członki, że ledwo się podniósł.

Ale czuł się szczęśliwy.

Szczęśliwy jak nigdy w życiu.

Chłopiec spał skulony na piasku, parę metrów przed nim.

Siostra Agnieszka gotowała śniadanie na małym ogniu, w najdalszym końcu ogrodzenia.

Swanson pokuśtykał do wozów i wyjął lunetę z sakwy.

Wyciągnął srebrzystą rurkę prawie na długość ręki i rozejrzał się.

Przez chwilę obserwował szybki ruch koloru na skałach wyschniętego koryta rzeki, poczym wszystko zamarło.

Niczego więcej nie spostrzegł.

Ale wiedział, co oznacza kolor.

Niezbale ujął hawkena i leniwie wpatrywał się w wąwóz, ułożywszy broń na złamanym ramieniu.

Siostra Agnieszka kilkakrotnie obrzuciła go spojrzeniem, lecz nie przerwała gotowania.

Chłopiec spał.

Dzień będzie równie upalny jak poprzednie.

Swanson jeszcze chwilę przypatrywał się łożysku rzeki, poczym przyłożył broń do ramienia i wypalił.

Huk dobiegł do najdalszej ściany wąwozu i echem odbił się od skał za strzelcem.

Zakonnica stanęła i wyprostowała się, jakby dźwięk ją uderzył.

Chłopiec z wysiłkiem starał się usiąść.

Swanson mierzył w but, który wysunął się na chwilę.

Teraz zniknął.

Nie wiedział, czy w cokolwiek trafił.

To nieważne.

Strzał skłonił ich do ostrożności.

Poczuł zapach smażonej dziczyzny, toteż obrócił się i podszedł do ogniska.

Siostra Agnieszka patrzyła, jak się zbliżał.

- Dlaczego ciągle próbuje pan kogoś zabić?

- Nie próbuję, proszę pani.

Staram się, żebyśmy przeżyli.

- Bóg nas obroni.

- Znowu przyklękła przy rondlu.

Wychodząc znad skalnego nawisu, wpatrzył się w spiętrzone skały, wznoszące się na setki stóp, strome i niebezpieczne.

Odwrócił się i spojrzał na zakonnice.

Chłopiec podszedł i usiadł obok niej, a ona wręczyła mu talerz mięsa, z którego unosiła się para.

Zajadał z apetytem, szybko, choć tłuszcz parzył mu palce.

- Może zjadłby pan śniadanie?

- spytała Swansona.

- Jasne - odparł, kucając obok Mateusza.

Spojrzał w zaspane oczy chłopca.

- Jak leci, synu?

Mały nie odpowiedział.

Swanson przypatrywał mu się przez chwilę, poczym odwrócił się do siostry.

- Myśli pani, że mnie rozumie?

Stara zakonnica przeczesła palcami włosy chłopca, usiłując je przygładzić.

- Mateusz to bystry dzieciak.

Po prostu jest małomówny, i tyle.

- Uśmiechnęła się do niego.

- To mi się podoba w mężczyźnie.

Gdy już zjedli, Swanson skręcił papierosa i siedzieli tak, rozkoszując się urokiem poranka.

Chłopiec przycupnął cicho obok siostry.

Mężczyzna zrobił szybki ruch zdrowym ramieniem i błyskawicznie pochwycił ze skały jaszczurkę.

Stworzonko obróciło łebek i przyjrzało mu się.

Położył je na ciemnej koszuli chłopca i skóra jaszczurki przybrała również ciemny, smagły kolor.

Potem zdjął zwierzątko i posadził na białym piasku.

Chłopiec patrzył.

W ciągu kilku minut jaszczurka zrobiła się biała.

W końcu Swanson położył ją Mateuszowi na kolanach, wstał i podszedł do wozów.

Kiwnął siostrze, by po deszła do niego.

- Są teraz w skałach nad rzeką.

- Nie widzę ich.

- Ja ich czuję.

Jakby gotowali mamalygę.

Są blisko.

Siostra Agnieszka zaśmiała się, poczym zrozumiała, że Swanson mówi poważnie.

- Czy ruszą na nas?

- Nie w ciągu dnia.

Ale przyjdą w nocy.

Stracili już cierpliwość.

- Możemy schować się w jaskini.

-I dać się tam pogrzebać żywcem?

Nie, dziękuję.

- Co, w takim razie?

- Mam sposób.

Odwrócił się i spojrzał na rzeczne skały.

- Muszę go przemyśleć.

BYŁO już po południu, gdy Swanson usiadł obok zakonnicy.

Drzemała w cieniu nawisu.

Gdy odchrząknął, poruszyła się powoli, poczym usiadła.

- Nie mamy wielkiego wyboru - powiedział.

Przytaknęła.

- Czy skoro są w skałach nadrzecznych, nie możemy się tamtędy mimo wszystko wydostać?

- zapytała.

- Nie.

Rozmieścili się zaledwie parę metrów od zbocza.

Zamknęli nas jak w kotle.

I spodziewają się, że znowu spróbujemy tej drogi.

Nie, chyba jedyna możliwość to przejście przez górę.

Tego nie przewidują i nie zostawimy za sobą śladów.

Oczy jej się rozszerzyły.

- Przez tę górę - rzekła, kładąc rękę na skalnej ścianie.

- To ze sto pięćdziesiąt metrów stromej wspinaczki.

Swanson wstał i otrzepywał sobie spodnie.

- Raczej trzysta.

Wiara doda siostrze sił.

Roześmiała się.

- Niech pan przypomni sobie Stary Testament: "Nie kuś Pana, twego Boga".

SWANSON postanowił opuścić ich schronienie w jaskrawym słońcu popołudnia.

Wiedział, że w tych godzinach jest najgorsza widoczność, gorsza nawet niż w nocy, kiedy to źrenice oczu rozszerzają się, by schwycić dodatkowe światło księżyca i gwiazd.

Wspinali się już od ponad dwóch godzin i przemierzili sześćdziesiąt metrów twardego górskiego zbocza.

Była to wyczerpująca i nie bezpieczna wyprawa.

Swanson przystanął przy mało widocznym śladzie, którego lekki zarys widniał na twardym wapieniu.

Chłopiec mocno przywierał do jego pleców.

Stara zakonnica z wysiłkiem szła parę kroków przed nimi, pochylona pod ciężarem hawkena.

Swanson spojrzał na górę.

Zbocze rozgałęziało się na trzy gigantyczne kamienne minarety, z których każdy tworzył labirynt skał i tarasów, rozjarzonych i zalanych światłem, które buchało z ogromnego niebieskiego sklepienia.

Piękno i ogrom góry zapierał dech w piersiach.

Myśl o dalszej wspinaczce paraliżowała go, spojrzał więc na siostrę Agnieszkę.

Weszła na szczyt wielkiej skały i obejrzała się do tyłu.

Uniół ręce, dając jej znak, by zaczekała, poczym mozolnie zaczął piąć się po zboczach skały, ostrożnie wsuwając stopy i dłonie w małe szczeliny, wykute w kamieniu przed wiekami.

Do konali tego, jak ich nazywają Apacze, Starożytni.

Zasapany dotarł na szczyt.

Tam zsadził chłopca i usiadł obok zakonnicy.

Patrzyła z uśmiechem na ogromną połąć pustyni.

- Co w tym takiego śmiesznego?

- To nie jest śmieszne.

Wspaniałe.

Surowość i prostota są równie pięknym dziełem Bożym, jak wszystko, co stworzył.

Gdy się wspinałam, panie Swanson, miałam wrażenie, że przyroda zazdrośnie strzeże ukochanych cudów Bożych.

Odczuwał pan tak samo?

- Niezupełnie.

Zakonnica pominęła milczeniem tę uwagę.

- Mam uczucie, jak bym tu już kiedyś była.

Swanson podrapał się po głowie.

- Może i pani była.

-Jak to?

- Indianie wierzą, że człowiek powraca i jeszcze raz przeżywa swoje życie.

Może właśnie pani to robi.

Pani współwyznawcy byli tu dwieście lat temu.

Katolicy pierwsi odkryli te okolice.

Zakonnicy przybyli tu z Meksyku, usiłując przedostać się do Kalifornii.

Siostra Agnieszka zastanawiała się przez parę minut, poczym znowu spojrzała na horyzont.

- Deszcz?

zapytała.

Swanson spojrzał na białe chmury, które zaczęły się zbijać w ogromne kłębowisko na północy.

Były majestatyczne, niezmiennie niczym wyrzeźbione w kamieniu, śnieżnobiałe na tle olbrzymiego niebieskiego sklepienia.

- Fałszywe obietnice.

Mamy mnóstwo wyschniętych strumyków i chmur, ale ani kropli wody.

- Szkoda rzekła ze smutkiem.

Swanson podniósł się szybko, aż przeszył go ból w nodze.

Pochylił się, by chłopiec mógł wspiąć mu się na plecy.

- Ruszajmy.

Ja poprowadzę.

Mam dziwne przeczucie w związku z tym miejscem.

-Jakie przeczucie?

- Że już kiedyś używano go w takim celu, w jakim myje chcemy wykorzystać.

Siostra nie bardzo rozumiała.

GDY główny trakt skręcał na lewo, Swanson zwrócił się w prawo i szedł wzdłuż pasma granitu, okalającego potężną wieżę z piaskowca.

W kamieniu nie zainstalowano poręczy, nie było wydeptanych ścieżek.

Mozolnie posuwali się naprzód.

Patrząc niewprawnym okiem mogłoby się wydawać, że całkowicie zgubili szlak i pieli się po nietkniętych ludzką stopą, niebezpiecznych bezdrożach łupków i piaskowca.

Ale pod doświadczonym spojrzeniem Swansona po prostu odnajdywali celowo pozacierane ślady wędrówek starożytnych zbiegów, którzy uciekali przez tę samą górę.

Przed kim czy przed czym, tego nie wiedział.

Później, gdy przechodzili przez granitowe zbocze, Swanson przy stanął i przyjrzał się dużej kamiennej kolumnie, wyrastającej z łożyska wąwozu jakieś sto metrów dalej.

Znowu ogarnęło go to samo uczucie.

Był już blisko.

Kolumna jednym bokiem łączyła się ze zboczem.

Wąski kamienny występ, szerokości najwyżej piętnastu centymetrów, wił się wstęgą wokół skały, prowadząc na drugą stronę.

Swanson przyjrzał się kolumnie i występowi, zszedł chłopca, poczym wyciągnął z sakwy rzemień.

Jeden koniec owiązał wokół skały, drugim opasał się w talii.

Zakonnica przypatrywała mu się.

Przeciągnął obolałe mięśnie.

- Niech pani poczeka tu z chłopcem.

Siostra Agnieszka spojrzała najpierw na występ, a potem znowu na Swansona.

- Nie jestem pewna, czy to pana utrzyma.

Jestem lżejsza.

- Dzięki.

Ale to mój rzemień.

Swanson stanął twarzą do skały, ostrożnie postawił stopę na występie i opuścił się na dół, z wolna przenosząc ciężar ciała na wąski pas.

Utrzymał go.

Bardzo powoli posuwał się naprzód.

Teraz obiema stopami stanął na występie.

Już przepadło.

Jeżeli się zarwie, spadnie w przepaść, lecąc w dół i modląc się, by rzemień utrzymał go.

Pot napłynął mu do oczu, łapał powietrze krótkimi haustami, serce waliło jak młotem.

Potem wyczuł to i już wiedział, że przecucie go nie zawiodło.

Natrafił na mały uchwyt.

Potem następny.

I jeszcze jeden.

Widział przed sobą kolejne.

Niebawem centymetr za centymetrem obszedł całą kolumnę.

Wstąpił na płaską rynienkę z czarnej skały.

Ubranie miał przesiąknięte potem.

Miejsce na którym stanął, było okrągłe, miało średnicę około piętnastu metrów.

Na przeciwległym krańcu znajdowała się płytka grota, wykuta w górskim zboczu.

Swanson słyszał szum wody.

Szybko odwiązał rzemień z talii i przeszedł w tamtym kierunku.

Woda kapała miarowo z ukrytego strumienia do dużego skalnego zbiornika.

Z rozkoszą zanurzył w niej twarz i pił lodowaty płyn, aż mu się wydawało, że pęknie.

Potem obejrzał grootę.

Była dość wysoka, by w niej stanąć i głęboka na jakieś sześć metrów.

Tylną ścianę okrywał mrok, a po jasnym górskim słońcu Swanson był jak oślepiiony.

Mały krąg osmalonych skał wskazywał, że niegdyś grota była zamieszka.

Ale od tego czasu upłynęło wiele lat.

Swanson dostrzegł przy ścianie kilka koszy i małe gliniane naczynie.

Wypełniały je suszona kukurydza, żołądź i jagody.

Naczynie zdobily pomalowane na czerwono figurki męzczyzn, ptaków i zwierząt.  
Nigdy nie widział takich ornamentów.

Nie były to wzory charakterystyczne dla malunków Apaczów czy Komanczów.

Potem, w rzadniejących cieniach ujrzał jej twarz, co przepełniło go uczuciem dziwnej  
wzniosłości.

Z tyłu grotty, na kamiennym występie, leżała niemal idealnie zachowana mumia  
młodej Indianki.

Skórę miała nienaruszoną, zęby w doskonałym stanie, włosy związane paciorkami z kwarcu i  
turkusu.

Ręce spoczywały delikatnie złożone na piersi.

Obok niej znajdowała się mumia młodego mężczyzny.

Przykucnięty, opierał się o występ jakby spał.

Swanson długo stał, przyglądając się tej parze.

Co się tu stało?

Czy byli kochankami?

Czy dziewczyna umarła, a młodzieniec z rozpaczyny popełnił samobójstwo?

Czy też ojciec przyłapał ich na potajemnej schadzce i zabił oboje?

Głos siostry Agnieszki wytrącił go z tych rozmyślań i wywołał z grotty.

Podszedł do skraju przepaści i zawołał cicho.

-Już się bałam, że pan przepadł - odkrzyknęła.

- Przywiązałem rzemień do skały po tej stronie.

Przejdzie pani tą samą drogą, co ja, twarzą do skały, podpierając się dłońmi.

Niech pani nie patrzy w dół.

I nie opiera się na rzemieniu.

Czy da pani radę?

Siostra skinęła, słysząc jego polecenia i zajęła odpowiednią pozycję.

Głęboko zaczerpnęła oddech, wymamrotała krótką modlitwę i ruszyła.

Przedostała się przez niebezpieczny przesmyk bez trudności.

Jest wspaniała, pomyślał Swanson.

Chłopca przeniósł na plecach.

CAŁA TRÓJKA stała teraz cicho w niewyraźnych cieniach grotty, patrząc na  
zmumifikowane szczątki młodego Indianina i dziewczyny.

Mateusz był równie wzruszony tą sceną, jak siostra i Swanson.

W miejscu, gdzie leżały ciała, padało słabe i melancholijne światło, niczym w katedrze.

- Smutne - powiedział cicho mężczyzna.

- Nie - zaprzeczyła siostra Agnieszka.

- Cudowne.

Ludzka miłość i poświęcenie dla drugiego człowieka.

To czysty dar od Boga.

Tych dwoje najwyraźniej go posiadało.

Przeżegnała się i uklękła obok pary.

Gdy odmówiła za nich modlitwę, Swanson zawiesił koc, odgradzając ciała od reszty  
grotty.

Mężczyzna i kobieta mają teraz spokój.

I tak już pozostaną.

CHŁOPIEC siedział na skraju przesmyku, wpatrując się w pustynię, na której właśnie  
zachodziło słońce.

Swanson podszedł, by się doń przysiąść.

Zatrzymał się z przestachem i przykucnął.

- Matt, wracaj.



Chłopiec usłuchał.

Swanson podczołgał się naprzód i powoli wychylił się przez krawędź.

Ich kamienna grzęda znajdowała się wprost nad wyschłym korytem rzeki, parę metrów na lewo od wozów.

A choć wspięli się tak wysoko, Apacz, patrzący w ich stronę mógł zauważyć na skałach ruch czy grę koloru.

Swanson wycofał się i wyciągnął lunetę z sakwy.

Wróciwszy na skraj położył się i dokładnie obejrzał całą pustynię.

Naliczył dziesięciu Indian, którzy ukrywali się w łożysku rzeki, obserwując wozy.

Nie zauważyli chłopca.

Swanson wślizgnął się z powrotem i usiadł obok niego.

- Na dole są Indianie.

Lepiej się tu nie pokazuj.

Chłopiec nie zareagował.

Swanson pomógł siostrze Agnieszce rozpalic mały, nie dający dymu ogień z korzeni zielonych krzewów, które znaleźli w grotcie.

Po posiłku, składającym się z ryżu i fasoli, oparli się o skały z lawy, które tworzyły górę, i patrzyli na zanikające arrasy pustyni.

Chłopiec siedział obok starej zakonnicy, otwierając i zamykając scyzoryk, który podarował mu Swanson.

Popołudniowe cienie zaczęły wypełzać ze skał i gromadzić się w zagłębieniach przesmyku.

Dzień nadal był gorący.

Hen w oddali masa chmur wpadła na zębate pasmo górskie, wysyłając na ziemię błyskawice z piorunami.

Swanson, zdumiony, liczył sekundy, aż do czekał się głębokiego pomruku grzmotu.

- Pięćdziesiąt kilometrów stąd.

- Tyle trzeba czekać, zanim do nas przyjdzie.

Burza była piękna, szalona i krótka.

Kiedy się skończyła, słońce przedarło się do krańca planety.

Narastająca ciemność jakby podkreśliła czarnym atramentem szlak, wijący się pod nimi w kierunku Santa Fe.

Księżyc właśnie wstawał na wschodzie.

Swanson trząsał się pod podmuchami chłodnego wiatru, który podniósł się niczym fala nad skałami.

Było mu dobrze.

-Jak się masz, Babciu?

- powiedział do księżyca.

- Dlaczego tak go nazywasz?

- Tak nazywają go Indianie.

- A gwiazdy?

- To dusze kuzynów, które chronią ludzkość.

- Ładne.

Swanson wyciągnął zdrowe ramię i zaczął się podnosić.

Wtedy go zobaczył.

Olbrzymi Indianin zdołał jakoś obejść przesmyk tak, by nikt go nie widział ani nie słyszał.

Miał tylko przepaskę na biodrach i mokasyny z kozłej skóry.

W potężnej dłoni trzymał colta walkera kaliber 44, o długiej lufie.

Musiał niedawno stoczyć walkę, bo głowę, ramię i talię owinięte miał przesiąkniętymi krwią bandażami.

Z jego szerokiej twarzy i wąskich szparek oczu biła nienawiść.

Swanson nie poruszył się.

Jego rewolwer, hawken, kusza - nawet nóż - wszystko znajdowało się w grocie.

Miał ochotę dać sobie kopniaka.

A byli już tak blisko.

Końcem oka zauważył, że chłopiec otwiera scyzoryk i ściska go za ostrze.

Swanson śmignął ręką obok starej zakonnicy i chwycił chłopca za ramię.

- Nie ma mowy, synu.

Oddaj mi nóż.

Indianin skulił się i wyprostował broń w ręce.

Swanson wziął nóż i rzucił go na skałę przed nimi.

Indianin machnął rewolwerem, każąc Swansonowi odejść od zakonnicy i chłopca.

Swanson wstał i przekroczył krawędź przesmyku, rozciągającego się nad pustynią.

Przez jego umysł przebiegały ułamki wspomnień - pies, twarz brata, Anna, głos jego matki.

Indianin wycelował potężną lufę w jego pierś.

Mężczyzna poczuł lodowaty chłód, który przejął go drżeniem.

- Nie!

- krzyknęła siostra Agnieszka, podnosząc się i szybko stając między Swansonem i Indianinem.

- Niech pani zejdzie z drogi - powiedział Swanson.

- Nie.

Nie może pan tak umrzeć.

Nie teraz.

Chłopiec podniósł się na nogi i otoczył ramionami szczupłą talię starej zakonnicy.

Cała trójka stała, patrząc w twarz olbrzymiemu Indianinowi.

W wieczornym powietrzu z wolna narastał słaby szum.

Przypominał równy, tętniący trucht jakiegoś zdziczałego stworzenia, schodzącego z olbrzymich wysokości na zachodzie.

Tętent zbliżał się coraz prędzej, zmieniał w odległy hałas, mknący bezlitośnie po piasku.

Napływając w wąwozy i łożyska strumieni, pochłaniał coraz większe masy ziemi.

Nadchodziła niepowstrzymanie wielka ściana brązowej wody, żywiołu niszczącego wszystko na swej drodze, ogłuszającego i przerażającego.

Swansona zaskoczyła jego gwałtowność, lecz jeszcze bardziej zdumiał go wpływ tego zjawiska na potężnego Indianina.

Małe oczka mężczyzny rozszerzały się, w miarę jak huk nadpływającej wody stawał się coraz głośniejszy.

Indianin dawał oznaki coraz większego wstrząsu.

Nie wpatrywał się już w Swansona - utkwiał natomiast wzrok w siostrze Agnieszce.

Uznał widać, że to jej czary spowodowały wybuch żywiołu, że to ona wezwała burzę na pomoc, by ją wyratowała.

Olbrzym zeskoczył na krawędź skalnego przesmyku, nie mierzając już rewolwerem w Swansona.

Widok, który się przed nim rozciągał, nappełnił go drżeniem.

Stał, trzęsąc się z niedowierzania, podczas gdy potężna fala spienionej wody nagle grzmotnęła na dole w wąskim wąwozie, a od jej huku zadrżało powietrze.

Swanson obrócił się, spojrział przez krawędź i zobaczył, jak rozpętuje się pandemonium.

Apacze, ukrywający się w łożysku strumienia, rozpaczliwie usiłowali wdrapać się jak najwyżej, by ująć napływającej wodzie.

Na nic się to nie zdało.

Nurt pędził szybciej niż koń - sześć metrów śmiertelnej ściany.

Mężczyźni krzyczeli, biegali i umierali.

Jedni tonęli w szalejącej powodzi, innych miażdżyły wielkie skały, toczące się wraz z falami.

Wtem nagle powrócił spokój.

Było niesamowicie i cicho.

Rwące fale odpłynęły.

Pozostał tylko mokry piasek, skały, tu i ówdzie sadzawki wody.

Trzech czy czterech Indian z trudem gramoliło się na brzeg rzeki.

Inni po prostu zniknęli, porwani gwałtownym nurtem.

Gdy Swanson obrócił się, Indianina już nie było

## Rozdział 11

SWANSON leżał na skraju skały w gorącym porannym słońcu, obserwując ich obu. Wpatrywał się w nich przez lunetę od świtu. Stali tak absolutnie nieruchomo, że można ich było wziąć za nieżywych. Wydawało się, że nawet nie oddychają. Po prostu stali ze wzrokiem wbitym w górski przesmyk, na którym leżał Swanson. Wielki Indianin górował nad karzełkiem. Stary miał na sobie spódniczkę i śmieszna ozdobę na głowie. Za nimi stały dwa małe, wojenne koniki. I jeszcze coś - czego Swanson nie potrafił zidentyfikować - leżało przed nimi na ziemi, przykryte kocem.

Gdy ujrzał ich poraz pierwszy, poranne promienie błyskały właśnie nad krawędzią wąwozu.

Teraz słońce stało prawie w zenicie, a oni nadal nie poruszyli się.

Wiedzieli, że ich obserwuje.

Wiedzieli, że hawken może zabić w ciągu ułamka sekundy, wysyłając ołowianą kulę, która wbije się w nich jeszcze zanim dźwięk strzału dotrze do rzeki.

A jednak stali tam, ślepo wpatrując się w Swansona.

Siostra Agnieszka siedziała obok niego i zafascynowana, przypatrywała się Indianom. Góry pogrążone były w ciszy.

- Co pan o tym myśli?

- Myślę, że to koniec.

- Ufa im pan?

- Ufam każdemu, kto mógł mnie rozwalić czterdziestką czwórką, a puścił żywcem.

STALI naprzeciw siebie, Swanson i wielki Indianin.

Żaden nie zdradził swych myśli ani nie odezwał się.

Od chwili, gdy obaj Indianie ujrzeni, jak zakonnica schodzi z góry i przechodzi przez rzekę, z wielkim trudem opanowywali swe uczucia.

Stało się z nimi coś strasznego.

Ukarali ich indiańscy bogowie.

Życie wielkiego Indianina jako wojennego wodza Apaczów zostało zniszczone.

Ale Swanson nie miał o tym pojęcia.

Wiedział tylko, że ma przed sobą pobitych mężczyzn.

Wódz wskazał potężną ręką na wzgórek pod kocami i wypowiedział słowo, którego Swanson nie zrozumiał.

Z jego gestu domyślił się, że proponuje mu jakiś rodzaj pokoju.

Potem on i siostra Agnieszka zobaczyli rude włosy.

- To siostra Rut - powiedziała stara zakonnica i uklękła.

Szaman i wielki Indianin stali, skrzepowani, gdy siostra Agnieszka modliła się nad ciałem siostry Rut.

Od czasu do czasu spoglądali na nią nerwowo.

Swanson nigdy nie widział Apacza tak przerażonego, toteż bez trudu wyczytał strach z jego twarzy.

Było to zdumiewające, niezrozumiałe zjawisko.

- Idź.

I nie wracaj tu więcej.

To powiedział duży Indianin.

Jego słowa zabrzmiały niemal jak prośba.

Obrócił się, pochwycił rzemienie końskich uprzęży i rzucił je Swansonowi.

JECHALI pędem do wodopoju, chłopiec ze Swansonem, a stara za konnica siedziała na drugim koniu.

Jeździła stosunkowo nieźle, co dało Swansonowi kolejny powód do zdziwienia.

Chyba nigdy nie pozna jej do końca i zawsze będzie go czymś zaskakiwać.

Wbijał pięty w boki konia.

Nie wiedział, co się wydarzyło u Indian, ale nie wierzył w trwałość takiego zawieszenia broni.

Wraz z zakonnice ciężko pracowali przez dwie godziny, by pochować siostrę Rut i ustawić drewniany krzyż.

Ani on, ani cały naród Apaczów nie zdołałby skłonić siostry Agnieszki, by grób pozostał nieoznakowany.

Pospieszał ją najdelikatniej, jak potrafił.

Obaj Indianie zniknęli na pustyni, jak złe sny.

Nie ulegało wątpliwości, że przerażała ich stara zakonnica.

Z jakichś, znanych tylko im powodów, wierzyli, że obdarzona jest niezwykłymi mocami.

Swanson uśmiechnął się do siebie.

On chyba też tak uważał.

Przyglądał się jej teraz, gdy ich konie rozdzieliły się, wyszukując sobie drogę między kwitnącymi krzewami.

Wpatrywał się w jej twarz.

Wyglądała na pomarszczoną i zmęczoną.

Zagłębiona w rozmyślaniach utkwiała wzrok w karku konia, ale go nie widziała.

Patrząc na nią uświadomił sobie, że miał do niej stosunek tak opiekuńczy, jak do nikogo przedtem na świecie.

Po raz pierwszy też, odkąd skończył osiem lat, ktoś się o niego troszczył.

Swanson jechał, rozmyślając o Kalifornii i swoim bydle.

Stopniowo zaczynał sobie uświadamiać, że jednak przeżył.

Chłopiec kurczowo przytulał się do jego pleców.

Mężczyzna nie próbował z nim rozmawiać.

SWANSON poganiał ich bez litości już od prawie czterech godzin.

Czuł, że chłopiec zasnął z tyłu, ale dzielnie się go trzymał.

Słońce zaszło, a późny wieczór rzucał na piasek płataninę cieni.

Przystanął na zwirowatym pasie suchego mułu, by spojrzeć na przebyty szlak i obejrzeć przez lunetę fragment pustyni, który zostawili za sobą.

Nikt go nie ścigał.

Kilka metrów przed wodopojem Swanson zostawił zakonnice i chłopca w źlebie.

Wziął kuszę i wyruszył w poszukiwaniu szlaku przez okrywające się coraz głębszym mrokiem piaski.

Roślinność była tu bogatsza.

Krzewiny o kruchych gałązkach i drobnych listkach obsypane żółtym kwieciem, kolczaste krzewy oraz srebrzyste, słodko pachnące niskie i gęsto rosnące krzaki o bujnych liściach.

Przedzierał się przez splątane zarośla, gdy nagle usłyszał trzask łamanej gałązki i przykucnął tam, gdzie stał.

Powoli podniósł się, stanął z boku zielonego krzaka i wsunął bełt do kuszy.

Czekał z szeroko otwartymi oczami, by pochwycić jaknajwięcej z szybko znikającego światła.

Najpierw ukazały się potężne, zakręcone rogi wielkiej pustynnej owcy.

Swanson odetchnął.

Bełt natychmiast zabił zwierzę.

Wykroił najsmaczniejsze części mięsa, zawinął je w skórę i odszedł.

Poruszał się powoli, uważnie wpatrując się w ziemię.

Z ulgą znalazł ślady wozu zakonnicy.

Zauważył, że siostra Elżbieta zatrzymała się w zaroślach o sto metrów od wody, poczym wysiadła i resztę drogi przeszła pieszo.

Bystra z niej kobieta.

Gdy wrócił, stara zakonnica rozmawiała z chłopcem.

Oboje siedzieli na piasku przed końmi.

- Siostry i dzieci dojechały.

Twarz starej zakonnicy rozpromieniła się.

- To najlepsza wiadomość z możliwych - powiedziała.

- Pan to sprawił, panie Swanson.

Zrobił pan to, o co prosił pana Bóg.

Nie odpowiedział.

SWANSON cieszył się, że niebezpieczeństwa już go ominęły.

Nie mniej był człowiekiem ostrożnym i zbudował nocny obóz tak, jakby ścigało go tysiąc Apaczów.

Wodopój znajdował się na małym, nieco obniżonym terenie, skalistym i otoczonym wyższymi piaskowymi wydmami.

Swanson stał na najwyższej górze piachu, trzymając hawkena w zagłębieniu dłoni, podczas gdy chłopiec i stara zakonnica pili, a potem umyli sobie twarze.

Powietrze wypełniało brzęczenie owadów.

Pod wieczór nieco się ochłodziło.

Tak piękne miejsce rzadko oglądał w tej krainie.

Czuł zapach pustynnej lawendy i słyszał buczenie ostatnich, udających się na spoczynek pszczoł.

Mimo wszystko, nie była to Kalifornia.

Gdy siostra Agnieszka i chłopiec skończyli, poprowadził konie do wody po twardym żwirze, by nie zostawiać śladów, a potem sprowadził je do małego żlebu.

W piaszczystych ścianach żlebu Swanson wykopał głęboki na metr dół na ognisko, poczym rozciągnął płótno na żerdziach z juki, na podobieństwo markizy.

Nawet z odległości dwóch metrów nie było widać ognia.

Nie potrafił zdusić cudownego aromatu piekącej się owcy, który w ciepłej pustynnej nocy mógł się nieść na kilkaset metrów, ale trudno byłoby go umiejscowić.

Kiedy skończyli jeść, Swanson zagotował wodę i zrobił kawę.

Nie pił jej już od tygodnia, więc smakowała mu wyjątkowo.

Siostra również pociągnęła parę łyków.

Zaproponował też kubek chłopcu, ale mały odmówił.

Siedzieli w cieniu płótna, ogień stopniowo zamierał w różowy popiół.

Siostra Agnieszka wracała do siebie.

Spojrzała na Swansona.

- Ciągle myśli pan o Kalifornii?

- Ciągle o Kalifornii.

- Odczekał chwilę, poczym zapytał: - A pani?

Nie opuści pani klasztoru po tym wszystkim, co mi pani zafundowała, prawda?

Uśmiechnęła się.

- Nie opuszczę - może tylko ten w Pensylwanii.

- W takim razie gdzie pani zamieszka?

- Może tu.

Wpatrywał się w nią, żeby się przekonać, czy na pewno nie żartuje.

Nie żartowała.

- Zgadzam się, że Apaczom należy wpoić jakąś religię, ale zginie pani przy tej misji.

Teraz omal pani nie zginęła.  
Spojrzała mu prosto w twarz.

- Nie.

Nie zginęłam.

Miałam pana, a pana zesłał Bóg.

Przez długi czas nic nie mówił.

Kiedy się wreszcie odezwał, stał i przeciągał się.

- Gdy tylko dowiozę panią do fortu, jadę do Kalifornii - tak że nie będę przy pani następnym razem.

Wziął pas z bronią i wyszedł spod płótna.

Miliony gwiazd przedzierały się przez czarny welwet nieba.

Świecił księżyc.

Spętał konie na sporym kawałku żywej trawy po zachodniej stronie żlebu.

Przez parę minut obserwował pasące się zwierzęta.

Gdy tylko zrobił krok naprzód, usłyszał odciągane kurki trzech strzelb i zamarł.

- Odkładaj rewolwer, ale powoli.

Piękny łaciaty koń zatańczył Swansonowi przed oczami.

Całkiem zapomniał o trzech ścigających go mężczyznach.

Oni o nim nie zapomnieli.

GDY wchodził do żlebu, zdrową rękę miał uniesioną i usiłował uśmiechnąć się do siostry Agnieszki.

Trzej mężczyźni z wolna jechali za nim.

Oczy chłopca rozszerzyły się, lecz stara zakonnica nie okazała niepokoju.

- Jakież kłopoty, panowie?

- Żadnych, proszę pani - tyle tylko, że ten facet zastrzelił z zasadzki naszego przyjaciela.

- To do niego niepodobne - rzekła.

- Ścigamy go już od dwóch tygodni, proszę pani.

- Byli to młodzi szczupli twardziele - mogli mieć koło trzydziestki - ale nie żadna hołota.

Jak większość mężczyzn na skraju cywilizowanego świata, mieli szacunek dla kobiet, a już zakonnica zaliczała się do specjalnej kategorii.

Siostra roznieciła ogień i postawiła na nim garnek z kawą, poczym nadziała na szpikulec potężny kawał baraniny i ustawiła go nad płomieniami.

- Panowie muszą być zmęczeni i głodni.

Mamy trochę świeżego mięsa i jeszcze coś do tego.

Wyciągnijcie się wygodnie.

Dwaj jeźdźcy zsiadli z rewolwerami w dłoniach.

Odprowadzili swoje konie kilka metrów w głąb żlebu.

Trzeci, barczysty, brodaty, z lekkim zezem, który nadawał mu wygląd szalonego, został w siodle, trzymając rewolwer wycelowany w Swansona.

- To pani przyjaciel?

- zapytał.

Siostra przerwała przygotowywanie posiłku i spojrzała na mężczyznę.

O wiele więcej, niż przyjaciel, proszę pana.

Człowiek, którego pan trzyma na muszce, uratował życie moje i tego tutaj Mateusza, a ponadto jeszcze dwu sióstr i pięciorga innych dzieci.

Musiał przy tym mocno nadstawiać własnego karku.

- Odwróciła się z powrotem do ognia.

- Ocaleliśmy, bo utrzymał w szachu trzydziestu Apaczów.

Swanson nie lubił, by mówiono o nim jak o koniu na sprzedaż.

Ale to nie była dobra okazja, by przerwać te pochwały.

W każdym razie nie teraz.

- Trzydziestu Apaczów, tak?

- Mężczyzna na koniu znowu obrzucił Swansona taksującym spojrzeniem.

Nie było w nim podziwu, a jedynie szacunek dla człowieka, który tak dobrze umiał walczyć.

Jeden z dwu pozostałych mężczyzn zaszedł go z tyłu i usiłował odciągnąć mu złamaną rękę za plecy, by ją związać.

Swanson obrócił się w miejscu, na którym siedział.

- On ma złamane ramię, panowie, sama je nastawiałam - rzekła zakonnica.

Obaj mężczyźni usiedli z tyłu za Swansonem.

Zdjęli kapelusze, lecz broń mieli pod ręką.

- Więc jeszcze raz, co on takiego zrobił?

- spytała siostra Agnieszka.

- Zabił naszego przyjaciela w Teksasie.

- A o co poszło?

- O kobietę.

-Czyją?

Zażenowany mężczyzna zawahał się na chwilę.

- Można powiedzieć, że każdego, kto się nawinął, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

- Owszem - odparła siostra Agnieszka, wsypując kawę do gotującej się wody.

-Jaką lubicie kawę?

- Taką, żeby umarłego podniosła na nogi - odparł zapytany.

Pozostali roześmiali się.

- Powiada pan, że pan Swanson zabił z zasadzki pańskiego przyjaciela.

Co znaczy, jak mi się wydaje, że strzelił do niego z ukrycia, w plecy.

Mam rację?

- Tak, proszę pani - rzekł jeden z siedzących za Swansonem.

- Poszedł za Bradym - to był nasz przyjaciel - w ciemną uliczkę za knajpą i strzelił mu w plecy.

- I mają panowie świadków?

- Kumple widzieli, jak wybiegał z uliczki.

Tropiliśmy go od słupka, do którego miał przywiązanego muła, aż do tego miejsca.

- Więc widzieliście Apaczów?

- Owszem.

Myśleliśmy, że załatwią za nas robotę.

Pomyliliśmy się.

Jeden z mężczyzn siedzących za Swansonem chrząknął, trochę za kłopotany.

- Nie wiedzieliśmy, że pani i chłopiec tam byliście, bo byśmy wam pomogli.

- Nie wątpię w to.

Pan Swanson właśnie tak zrobił.

- Z całym szacunkiem, proszę pani, to nie zmienia tego, jak urządził Bradyego.

SIOSTRA AGNIESZKA była dobrą kucharką, toteż posiłek smakował wyśmienicie.

Podobnie jak kawa.

Siostra przygotowała przysmaki Dzikiego Zachodu: pustynną owcę upieczoną na krwisto, czerwoną fasolę i ryż ze słodkimi bulwami pustynnych hiacyntów.

Mężczyźni po chłonili je, po czym, patrząc przepraszająco, wytarli usta chustkami.

- Takiego jedzenia już dawno nie miałem w ustach - powiedział potężniejszy.

- Dziękuję.

- Miło mi to słyszeć.



- Zakonnica zwróciła się do Swansona.

Siedział na piasku ze skrzyżowanymi nogami, przypatrując się mężczyźnie z prawej.

- Panie Swanson, słyszał pan, co mówili ci panowie.

Co pan na to?

Noc zrobiła się teraz chłodna.

Z północy wiał lekki wiaterek, płótno nad ich głowami zaczęło łopotać.

Swanson znowu myślał o Kalifornii i o psie.

Spojrzał na siostrę.

Nie chciał się tłumaczyć.

I tak nie będą go słuchali.

Ale uznał, że jej się to należy.

Nie chciał, by myślała, że strzela ludziom w plecy.

- Wszedł za mną z knajpy.

Chciał tę kobietę.

Był wściekły, bo odeszła od jego stolika i przysiadła się do mnie.

Chciał się bić.

A walczyliśmy uczciwie - tyle że on był pijany.

Ale nie mogłem temu zapobiec.

Zabiłem go w uczciwej walce.

- Bujdy - stwierdził potężny mężczyzna.

Swanson i zakonnica patrzyli sobie cały czas w oczy, póki staruszka nie odwróciła się i nie odeszła w mrok.

Poczuł się nieswojo.

Wiedział, co siostra myśli o zabijaniu.

-Jeżeli zabiłeś Bradyego uczciwie, to skąd kula w plecach?

- Strzeliłem do niego dwa razy.

Za pierwszym razem trafiłem go wysoko w ramię, a on się okręcił w miejscu i wtedy dostał drugi raz.

- Nie miał dwóch kul.

Tylko jedną, prosto w plecach.

-Jeny - powiedział jeden z mężczyzn, siedzących za Swansonem.

- Był ślad po kuli na szczycie lewego ramienia Bradyego.

- No więc to chyba wszystko wyjaśnia - powiedziała siostra Agnieszka.

Stała w cieniu, prawdopodobnie modląc się.

Pewnie za duszę ich zmarłego przyjaciela, pomyślał Swanson, a powinna modlić się za mnie.

Olbrzymowi nie trafiło to do przekonania.

- Bujdy - powtórzył głosem zdecydowanym i rozstrzygającym.

Jego ton nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości.

Zakonnica nie zwróciła na niego uwagi

- Przyjmijmy więc, że pan Swanson mówi prawdę.

Wolicie, panowie, puścić go teraz wolno, czy opowiedzieć całą historię władzom w Santa Fe?

Zapanowało długie milczenie.

Wiatr wzmógł się nieco i obsypał piaskiem Swansona.

Potem zamarł zupełnie, a panująca wokół cisza ciążyła wszystkim.

- Mamy dla pani głęboki szacunek.

Naprawdę - odezwał się w końcu potężny mężczyzna.

- I rozumiemy pani uczucia wobec tego człowieka.

Ale jednak pozostaje faktem, że zabił Bradyego.

W Santa Fe jesteśmy zupełnie nieznani.

Po prostu my powiemy swoje, a on swoje.

Pani, oczywiście, będzie go popierała.

Nic z tego nie wyjdzie.

- Więc co chcecie zrobić?

Pojechać do Teksasu?

- Nie, proszę pani.

Powiesimy go tutaj.

Tak jak to obiecaliśmy Bradyemu.

Jego słowa zawisły nad żlebem niczym ciemna chmura.

Swanson od początku wiedział, jakie mają zamiary.

Podejrzewał, że zakonnica również się ich domyślała.

Nie widział jej w świetle ogniska.

Może to i lepiej.

- Nie - powiedziała.

Jej głos dobiegał teraz z bliższej odległości.

- To niewporządku.

Nie możecie zabić tego człowieka.

- Wiemy, jaki ma pani...

Wydawało się, że mężczyźni wyrwano słowa z ust.

Swanson pobiegł za jego spojrzeniem i ujrzał siostrę Agnieszkę, trzymającą hawkena.

Obok niej stał chłopiec, dzierżąc w zaciśniętej pięści jego ciężki nóż.

- Panowie, proszę położyć rewolwery przed sobą na ziemi - rzekła siostra.

POWOLI wyciągali broń, zastanawiając się, czy rzeczywiście strzeliłaby.

Mężczyzna o imieniu Jerry rzucił swoją jako ostatni.

Swanson od początku prawidłowo ich ocenił.

Absolutnie nie użyliby broni przeciwko kobiecie, a zwłaszcza zakonnicy.

Swanson zebrał ich broń i włożył do torby podróżnej siostry.

Potem wziął swego konia.

Wsiadłszy na jego grzbiet spojrział w dół na zakonnicę.

Uśmiechała się do niego.

Jej oczy były wilgotne.

Walczył z tym samym uczuciem.

- Na pewno nic pani nie będzie?

- zapytał.

- Absolutnie nic.

Zdążyliśmy się polubić z tymi panami.

To dobrzy ludzie.

Odprowadzą mnie do fortu.

Swanson rozejrzał się za chłopcem.

- A gdzie jest Mat?

- Chyba trudno mu się było pożegnać.

Tylko o to chodzi.

Powiem mu, że pan o niego pytał.

Będzie zadowolony.

- Niech pani uważa na siebie.

- A pan na siebie.

I, panie Swanson, pamięta pan, żeby porozmawiać z Bogiem.

On na to czeka.

Musiał odchrząknąć, zanim zdołał wydobyć z siebie głos.

- Obiecuję.

Spojrział na trzech mężczyzn.

Nie wyglądali na zagniewanych.

Może byli zadowoleni, że powstrzymała ich przed dokonaniem czynu, którym gnębiliby się do końca życia.

- To była uczciwa walka.

Obrócił konia i lekko dotknął piętami jego boków.

Na szczycie zlebu odwrócił się.

Zakonnica odprowadzała go wzrokiem.

Wtem poczuł, że coś go ciągnie za skórzane spodnie, a gdy spojrział w dół, zobaczył zapłakaną twarz Mata.

- Weeż mniee zee soobą.

Chłopiec uniósł obie rączki w stronę Swansona.

Nagle mężczyźni stanęła przed oczami mała Anna, zakonnica, wizja jego ukochanej matki, jaką roztoczyła przed nim siostra Agnieszka, ujrzał swego brata Joszue, psa.

Chłopiec jeszcze wyżej wyciągnął ramionka.

Swanson chwycił go za nadgarstek, okręcił i posadził za sobą.

Potem obrócił się i spojrział na nią.

Uśmiechała się.

Pojechali.

Gdy koń ostrożnie szukał drogi w ciemności na szczycie zlebu, usłyszał jej głos:

- Gracie w karty, chłopaki?

... To dobrze.

Chodźcie tu bliżej.

Macie trochę szkockiej?

... Może być burbon.

Podczas partyjki opowiem wam o człowieku, którego właśnie puściliście wolno.

Opowiem wam o cudzie.

Mateusz trzymał się go z całej siły.

Koniec.

Tom Eidson.

Inspiracją debiutanckiej powieści Toma Eidsona, "Siostra Agnieszka", były dzieje jego własnej rodziny.

Jeden z przodków pisarza hodował bydło w Kolorado, inny miał gospodarstwo w Kansas.

"Pochodzę z ostatniego pokolenia, które nie wychowywało się na oglądaniu telewizji.

Ludzie byli gawędziarzami.

Książkę napisałem z potrzeby oddania klimatu miejsc, o których mi opowiadano", mówi Tom Eidson.

Dzieciństwo spędził w wiejskich okolicach Kalifornii Południowej.

"Mieszkałem na wsi.

Nasza rodzina miała konie, toteż występowałem w pokazach konnych i licznych rodeo", wspomina.

Pracował przez rok na ranchu w Teksasie.

Po ukończeniu uniwersytetu i służby wojskowej rozpoczął pracę w środkach masowego przekazu.

Obecnie jest prezesem dużej firmy reklamowej.

Tom Eidson mieszka z żoną i dziećmi w Connecticut.

Niedawno ukończył drugą powieść, jak można było oczekiwać, kolejny western, odzwierciedlający dziedzictwo Dzikiego Zachodu.